

LEOKADIA  
W KRAINIE CZARÓW

AGATA AGNIESZKA WŁODARCZYK

novaeres  
WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

Agata Agnieszka Włodarczyk

**LEOKADIA  
W KRAINIE CZARÓW**



*Nec temere, nec timide*  
(dosł. łac. Nie zuchwale, nie bojaźliwie)

# 1.

KIEDYS WIERZYŁA W SZCZĘŚCIE, LUDZI, PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ – we wszystkie elementy rzeczywistości, jakich małe dziewczynki uczą się z bajek o księżniczkach. Wierzyła, że można rozmawiać pieśnią ze zwierzątkami, że z kłopotów wybawi ją książę na białym koniu, a jej matka chrzestna, wróżka, na pewno obdarowała ją cudownymi darami zaraz po narodzinach. Widziała tylko jasną stronę tych cholernych bajek, aż ich ciemna strona wyskoczyła i ugryzła ją prosto w dupę. Mocno, zachłannie i bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Lea była normalną, przeciętną młodą dziewczyną – przynajmniej tak o sobie myślała i tak sądziła, że widzą ją inni. W szkołach uczyła się dobrze, niekiedy nawet bardzo dobrze, ale tylko niekiedy, bo na świecie było zbyt wiele fascynujących spraw, aby marnować czas na coś tak błahego jak nauka. Miała dużo przyjaciół i znajomych, generalnie świat wokół był cudownie zwyczajny, a ludzie, którzy ją otaczali, stanowili miłą i wspierającą gromadę. I to właśnie była ta jasna strona bajek kopciuszkowych.

Matka Lei oraz jej Babka były kobietami urodzonymi w prostej żeńskiej linii słowiańskiego Rodu o pewnej „skazie”, jak to czasem enigmatycznie określała któraś z jej antenatek. Problem, przynajmniej zdaniem tej starszej, polegał na tym, że ani Lea, ani jej rodzicielka tego dziedzictwa nie otrzymały (dla uściślenia – podobnie jak i Babka). Na dodatek Lea była jedyną córką swojej matki, więc to na niej kończyła się symbolicznie magiczna prosta linia żeńska. Lea nie miała tego czegoś, co mieć powinna. Była rozczarowaniem. I to właśnie była ta ciemna strona bajek kopciuszkowych.

Babka, poza Matką Lei, miała również syna, Wujka, którego wyjątkowo wielbiła, rozpieszczała i patrzyła przez palce na wszystkie jego wady (Lea podejrzewała, że to nie wynikało wcale z tego, że pierworodna córka Babki nie miała „skazy”). Ślepe oddanie i wyidealizowane uczucie Babki potęgował fakt, że ukochany syn też miał córkę. Daniela wprawdzie nie była najstarszą wnuczką i nie pochodziła wprost z symbolicznie magicznej linii żeńskiej Rodu, ale nadal była córką i to pochodzącą z niewielkim tylko zakłóceniem wprost z tej linii. Życie przecież nigdy nie było idealne, czasem granice lekko się rozmywały i Babka umiała z tym żyć, tak długo jak chodziło o Daniellę.

Daniela nie była rozczarowaniem. Przynajmniej takie wrażenie zawsze odnosiła Lea, gdy wszyscy spotykali się u Dziadków w czasie rodzinnych zebrań. Obie dziewczynki traktowali inaczej, tylko z pozoru dlatego, że dzielił je rok wiekowej różnicy. Kiedy Lea była młodsza, ubolewała nad faktem, że w obliczu córki Wujka stawała się przy stole niewidzialna. Kiedy

Daniela była młodsza, jej również ten stan nie odpowiadał i dlatego wychodziły do pokoju obok, aby oddać się wszelkim radościom dzieciństwa, zostawiając rodziców samych sobie. Lea uwielbiała te momenty – tworzyła w umyśle iluzje, że oto ma młodszą siostrę, z którą może zabić nudę zabawą. Sądziła, że Kuzynce też się to podoba. Dlatego po pewnym czasie przestała zwracać uwagę na to, jak inaczej Babka i Wujek traktowali Danielę, jak tylko Matka i Ojciec głośno wypowiadali swoje uznanie wobec Lei. Doszła do wniosku, że może być i Rozczarowaniem, byle tylko miała swoją kochaną młodszą siostrę, z którą mogła swobodnie się bawić.

Obie w końcu jednak dorosły, zmieniły się z dzieci w dziewczynki, z dziewczynek w dziewczęta, a na koniec, małymi kroczkami, w kobiety. Gdzieś na tym ostatnim etapie mroczna strona bajek ugryzła Leę w dupę.

Dzień, w którym Babka wezwała wszystkich do siebie poza oficjalnym kalendarzem Spotkań Rodzinnych, był dniem, w którym Lea nad wyraz boleśnie odczuła, że jest Rozczarowaniem i nieudanym produktem symbolicznie magicznej żeńskiej linii Rodu. To był również dzień, w którym straciła swoją wymagowaną młodszą siostrę na zawsze, a także dzień, gdy „skaza” zyskała realne imię i kształt.

W salonie trzypokojowego mieszkania Dziadków, w którym przy dużym stole z wiśniowej okleiny zawsze odbywały się kulinarne orgie, wszystkie meble zostały przesunięte albo wyniesione do gabinetu (pokoju zabaw lat dzieciennych). Zwinięto też dywan, a na cennym parkiecie z prawdziwego drewna ktoś bestialsko wyrysował dziwaczne wzorki. Lea nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu cisnącego się na usta, gdy wyobrażała sobie późniejsze próby usunięcia z perfekcyjnej podłogi tej, nomen omen, skazy. Przechodząc koło niewielkiego lustra, ustawionego tuż przy wejściu do salonu, odruchowo poprawiła sweter, aby dekolt leżał symetrycznie względem szyi (i biustu – jedynej dumy Lei, jeśli chodziło o własną fizyczność). Następnie strzepała białe, irytujące pyłki z czarnych letnich spodni. Dopiero wtedy weszła do odmienionego salonu. Dopiero wtedy poczuła się gotowa, aby tam wejść.

Na Wujka, Ciotkę i Danielę, jak zawsze, musieli z kwadrans poczekać, chociaż druga gałąź Rodziny mieszkała zaledwie ulicę dalej. Zawsze się spóźniali, co w ich wypadku było działaniem zaplanowanym, a jeśli robiła to rodzina Lei, to wówczas niepojawienie się na czas było efektem spóźnialstwa jako cechy. Ten podwójny standard Lea nauczyła się ignorować dość wcześnie, co zapewniło jej dostateczny poziom zadowolenia z wizyt i dobre samopoczucie.

Babka ustawiła ich przy ścianie, zaraz koło drzwi, a więc i prostopadle do wejścia do mieszkania – żeby mogli się szybciej przywitać – pomimo protestów Lei, że we wczesnowiosennym słońcu byłoby przyjemniej czekać. Ale jej głos jak zawsze zbagatelizowano – nikt czternastolatki nie zamierzał słuchać, choć nie wiek akurat miał tutaj znaczenie. Babka bowiem miała swój Plan. Ojciec pokręcił głową, kłótnie nie miały sensu. Oczywiście, miał

rację - Babka taka już była i Lea wiedziała, że szybciej przekonałaby do rozsądnego zachowania górę lodową niż ją.

Wujostwo dotarło spóźnione o prawie pół godziny - wystrojone, z wysoko uniesionymi brodami, co napełniło Leę złym przecuciem. Rodzina Wujka zawsze była przekonana o swojej doskonałości, wyższości nad szarym społeczeństwem, ale nie aż tak. Taki poziom samozadowolenia nie mógł oznaczać niczego dobrego. Babka powitała ich z jeszcze bardziej niepokojącą serdecznością, następnie zaprowadziła Danielę do dziwacznych wzorów i ustawiła ją w ich środku. Lea patrzyła na to wszystko lekko znudzona, jak zawsze, gdy nie do końca wiedziała, co się dzieje. Nie lubiła marnować energii na coś, czego i tak z założenia miała nie zrozumieć. Poza tym odniosła wrażenie, że nie spodoba jej się rozwój sytuacji.

- Moi mili - zaświergotała Babka, dosłownie „zaświergotała”. O, o. - Wczoraj stała się rzecz niesamowita! Ale to już pewne, potwierdzone! Daniela ma Znaki! I to Pięć!

Jej radość aż parowała ze skóry, unosiła się w powietrzu, dusiła, owijała wokół rąk, nóg, unieruchamiając wszystkich poza Babką. Ona tańczyła dookoła wyrysowanych wzorów, dokoła wnuczki, która najwyraźniej udowodniła, że nie jest Rozczarowaniem, że jest Dumą. I to jaką! Jakie to niesamowite! Jakie cudowne! Jakie to pewne i potwierdzone, że Daniela ma Znaki! I to Pięć Znaków! Jakie to radosne, jakie to wspaniałe, że dar nadal pozostał w rodzinie! Och, och, och, ach!

Lea nie wiedziała, o czym Babka tak świergocze. Ba, przeszło jej nawet przez myśl, że w końcu oszalała. Reakcje Wujostwa jednak takiej możliwości przeczyły. Choć szaleństwo najlepiej tłumaczyłoby tę okropną, niezrozumiałą radość i wszystko to, co zdarzyło się później.

## 2.

SIEDZIAŁA W MIARĘ WYGODNIE NA JEDNEJ Z NIŻSZYCH GAŁĘZI DĘBU i z niewielkim zainteresowaniem obserwowała Zgromadzenie, tradycyjnie odbywające się na polanie w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym. Piękny plener, dużo drzew, zapach prawdziwego lasu, brak najdrobniejszego śmiecia w okolicy, po prostu - perełka w samym środku miasta. Leę zapewne nawet by to wszystko cieszyło, gdyby nie ludzie zbici w groteskowy półokrąg przed przenośną sceną. Sceną! Ciekawe, kiedy zaczną przywozić własne reflektory, zamiast zadowalać się jedynie blaskiem ognisk? Zdecydowanie ta banda była do tego zdolna.

Rozpościerający się przed nią obrazek zawsze kojarzył się Lei z obradami sejmu i pogańskimi gusłami - a taki mariaż nie dawał interesujących i ciekawych dzieci. Pewnie i błogosławieństwa dobrych wróżek na nic by się nie zdały. Kiedy po raz pierwszy przyszła na Zgromadzenie, nawet wmieszała się w tłum i wzięła bezpośredni udział w tym cyrku. Jeden jedyny raz. Później trzymała się na uboczu, w cieniu drzew. Generalnie mniejszy miałaby problem, gdyby nie fakt, że po prostu musiała uczęszczać na te comiesięczne spotkania. Jak jakiś alkoholik na zebranie grupy terapeutycznej. Tyle że, do kurwy nędzy, nie była od niczego uzależniona!

Sapnęła, zła na cały świat, że musi tutaj siedzieć. Miała o wiele ciekawsze rzeczy do zrobienia w domu - niewielkie zlecenie z galopującym deadline'em, naukę na kolokwium, sprzątanie łazienki. Ale nie mogła pójść tego wszystkiego zrobić, nie, nie. Musiała siedzieć na tej cholernej gałęzi! Całe szczęście, że była późna wiosna i Lea nie odmrażała sobie własnie dupska - bo może i wybrała drzewo najwygodniejsze i najlepiej osłonięte, ale z temperaturą trudno wygrać, jeśli się chociaż nie biega. A nie biegała. Właściwie starała się z całych sił jak najmniej rzucać w oczy, wtopić w tło. Patrzcie, jestem liściem i powiewam. Łiii.

- Znowu się wkurzasz - rzucił cicho Andriej, wyłaniając się z ciemności okalających las. Nie podskoczyła. Brawa dla niej. - Robią ci się wtedy takie charakterystyczne zmarszczki wokół oczu.

Posłała mu najlepsze w swoim repertuarze zniesmaczone spojrzenie. Roześmiał się tylko cicho, gardłowo i nisko. Przebiegł ją przyjemny dreszcz. Czasem miała wrażenie, że ten na wpół konspiracyjny, diabelnie uwodzicielski śmiech Andriej wydobywał z siebie specjalnie dla niej. Droczył się z nią od pierwszego spotkania, wodząc za nos, obiecując bez słów fizyczne przyjemności, choć oficjalnie traktował ją jak przyjaciółkę i tylko przyjaciółkę. Niestety.

Był bardzo przystojny, taką drapieżną przystojnością, przez co Lea nie potrafiła się oprzeć jego urokowi. Lubiła romansować z Andriejem w swojej głowie, zwłaszcza że na tej płaszczyźnie sprawiał o wiele mniej kłopotów, a przede wszystkim - nie stawiał żadnego oporu. Jak to robił w rzeczywistości.

- A oni znowu pierdolą o nieistotnych rzeczach - sarknął Andriej. - Kolejne zmarnowane godziny życia.

- Od kiedy tylko nas „ucywilizowano” i wprowadzono Zgromadzenia, nic tylko pierdolą o nieistotnych rzeczach - odpowiedziała, zwieszając nogę z gałęzi. - Niby fajnie, bo nie ma już walk terytorialnych, które w miastach były zdecydowanie upierdliwe, ale to nie jest rozwiązanie.

- Powtarzasz się, wiesz? - mruknął, opierając się o jej drzewo. (Tak, terytorializm mieli we krwi i żadne Zgromadzenie tego nie zmieni. Miała ochotę walczyć o swoje drzewo, nawet z Andriejem. Zwłaszcza z Andriejem). - I tak masz lepiej od nas, maluczkich. Przynajmniej jedna z Trójcy Rządzących jest twoją rodziną.

Z gardła Lei wydobył się zde gustowany pomruk, jakiego nie powstydziliby się żaden drapieżnik. Każda wzmianka o tym drobnym fakcie doprowadzała ją do szału. I to takiego szału, który najłatwiej było uciszyć rozerwaniem czegoś na strzępy. Dopiero całkiem niedawno nauczyła się, że nie powinna urzeczywistniać swoich gwałtownych, agresywnych zapędów. Takie zachowanie nie było mile widziane w społeczeństwie. Jakimkolwiek społeczeństwie. Podobno instynkt obrony terytorium nie działał w kontaktach z osobami spokrewnionymi. Jeśli tak było, to naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego żywiła wręcz nieposkromioną ochotę rozszarpania kuzynki, kiedy tylko ta znajdowała się w pobliżu. Może przez te wszystkie kąśliwe uwagi? A może przez całą ich przeszłość? Może przez coś jeszcze innego. Fakt jednak pozostawał faktem.

- Nawet mi nie przypominaj - warknęła przez mocno zaciśnięte zęby.

Posłał jej łobuzerski uśmiech. Właśnie taki Andriej był wcieleniem marzeń każdej wychowanej na romansidłach nastolatki. Zabawny, złośliwy, elokwentny, inteligentny... no i dochodziły do tego jeszcze czysto fizyczne walory. Szerokie ramiona, umięśniona sylwetka, ostre rysy twarzy, bujne blond loki, przenikliwe niebieskie oczy. Idealny Aryjczyk „przyprawiony” wyśmienitymi cechami charakteru. Kiedy się poruszał, Lei na myśl przychodziły takie duże za duże wilki, pewne swojej siły, przekonane, że i to polowanie zakończą sukcesem. Była ciekawa, czy kobiety mdlały, gdy mijały go na ulicy. Będzie musiała w końcu się z nim spotkać na mieście i sprawdzić to osobiście.

Milczeli przez parę minut, wsłuchując się w nieskładny wykład Trójcy dotyczący reguł związanych z Przywiązaniem Rządzonego do siebie. Zawsze przy takich pseudowywagacjach miała ochotę prychnąć. Zgromadzenia służyły Rządzącym, nigdy jednak tej drugiej stronie. Ustanawiały prawa dla siebie i pod siebie, zupełnie ignorując potrzeby czy pragnienia tych, których chciały sobie podporządkować. Nic dziwnego, w Trójcy znajdowali się



przecież tylko oni, bo Rządzeni „tracą wolę, gdy już zostaną Przywiązani, a Przywiązani zostać muszą, bo po to zostali stworzeni”. Właśnie tak brzmiało oficjalne stanowisko, tak się o nich mówiło – i wszystkim to pasowało, bo tak rozwiązywali wiele ewentualnych dylematów etyczno-moralnych. Lei nie podobał się taki stan rzeczy, nie mogła jednak od niego uciec. Ten pieprzony cywilizacyjny eksperyment, ta pseudodemokracja ogarnęła większość krajów Europy, spychając w cień lub wykorzeniając stare obyczaje. Brutalne, owszem, ale przynajmniej uwzględniające obie strony medalu.

- Wrócił już? – spytał po chwili Andriej, wyrывая ją z ponurych rozmyślań.

- Nie. Ma przylecieć dopiero pojutrze.

- Powiedz, że chcę z nim porozmawiać, co? – zapytał nonszalancko, jakby właśnie nie wspominał, że ukrywająca się przed Zgromadzeniem zbuntowana grupa, uznająca jedynie Prawa, chce z kimś porozmawiać.

I o to chodziło. Nikomu by przez myśl nie przeszło, że to niewinne zdanie, wypowiedziane w podobny sposób, może być podejrzone. Na dodatek w ustach Andrieja? Mężczyzny, za którym oglądały się dosłownie wszystkie kobiety Zgromadzenia (i niektórzy mężczyźni również?). Wybaczłyby mu nawet największą obelgę! Żeby uwierzyły, że jest nieprawomyślny, trzeba by im rzucić fakty prosto w twarz. A najlepiej przeparadować przed oczami i przez oczy, z nadzieją, że może jakimś cudem zarejestrują prawdę. Co i tak było mało prawdopodobne.

- Jeśli się do mnie odezwie, to przekażę. Ale wiesz, jaki on jest.

Nie odpowiedział, nie musiał. Oboje wiedzieli, że on znajdzie sposób, aby się z nią skontaktować. Chociaż nie powinien, chociaż należało zachowywać pozory – i tak to robi.

Uśmiechnęła się na samą myśl. Niestety, Andriej to zauważył, o czym wyraźnie zaświadczył zduszony chichot. Pierdolony skurwysyn.

Mieszkanie było nie tylko pogrążone w ciemności, co wcale nie dziwiło o trzeciej nad ranem, lecz także zimne, a to o tej porze roku zaskakiwało. Była cholernie zmęczona, może stąd to poczucie chłodu. Albo jednak przemarzła na swojej gałęzi. O zakopaniu się w kołdrach nie było mowy, czekała ją wciąż praca do wykonania. Nanoszenie zmian redaktorskich było zajęciem żmudnym i nudnym, ale przynajmniej zapewniało jakiś sensowny dodatek do zarobków. Mniej więcej. No i pomagało ćwiczyć koncentrację.

W nocie tak nieudolnie skonstruowane przez siły wyższe jak dzisiejsza pusta kawalerka nie wydawała się takim dobrym rozwiązaniem jak w dniu, kiedy Lea (mniej więcej) wrzuciła swój dobytek do środka. Trzy lata temu świat miał nieco inne kształty. Nie mogła zostać z rodzicami właśnie przez ich zmianę. Zbyt znaczącą, zbyt gwałtowną...

- Nie ma mowy – warknęła. – Nie będziesz się nad sobą uzalać, gdy robota czeka. Rano zadzwonisz do matki.

Zdjęła buty, a raczej porzuciła je w bliżej nieokreślonym miejscu niewielkiego przedsionka. Sądząc po głuchym odgłosie, zapewne trafiła

w szafkę. Kiedyś układała je w całkiem równych rzędkach, ale poddała się, gdy poranne problemy z postrzeganiem świata dały o sobie znać o jeden raz za dużo. Po prostu zbyt często wkładała niepasujące do siebie obuwie. Chociaż tutaj winne mogły być również znaczące opóźnienia we wszystkich punktach grafiku. Jak się okazało, system ze stosikami sprawdzał się o wiele lepiej – zmuszał ociążały umysł do zidentyfikowania podobnych do siebie egzemplarzy. Wspomagał też proces budzenia. Zwłaszcza gdy się o coś przewróciła i zapoznała bliżej głowę ze ścianą, szafką czy drzwiami. Czarną bluzę powiesiła na wieszaku, chcąc choć trochę zatrzeć wrażenie artystycznego nieładu. Troszeczkę.

Włączyła białego laptopa leżącego samotnie pośrodku biurka i poszła po swojego wiernego towarzysza nocnych prac. Rumowy arbuzowy drink – raz. Cóż by zrobiła bez tej cudownej dawki cukru i przyjemności? Zapewne w końcu zaczęłaby się użalać nad sobą w myśl zasady *it sucks to be me*<sup>[1]</sup>. Na szczęście cywilizacja przygotowała odpowiednie remedium na podobne stany. Alkohol i glukoza, jeden z lepszych zestawów pocieszających. Lody też działały, ale na lody czuła się zbyt zmarznięta po tym pieprzonym wysiadywaniu na gałęzi.

Kiedyś, wbrew wszelkim prawom logiki, uwije tam sobie gniazdo i złoży jajo. Przynajmniej Zgromadzenia wniosą coś dobrego dla świata. Widziała w wyobraźni nagłówki tabloidów: „Pierwszy w historii ludzki embrión w jajku!”, „Probówki odchodzą w zapomnienie – czas znosić jajka!”.

Ziewnęła, siadając ciężko i bez większego entuzjazmu do pracy. W wydawnictwie miała się pojawić dopiero koło dwunastej, więc jeśli się postara i zepnie tyłek, to może nawet uda jej się trochę przespać. Na szczęście, wielkie szczęście, rano nie miała żadnych zajęć na swojej zacnej uczelni. Jak mawiają studenci – noc jest długa. Wzniosła samotny toast ku czci Świętej Prawdy Każdego Studenta. Cicha i długa. I wtedy zadzwonił telefon. Wszechświat miewał swoje momenty. Poirytowana podniosła słuchawkę.

- Tu Lea, kto dzwoni i czego chce o tej diabelnej godzinie?

---

[1] *It sucks to be me* – tu: nikt nie chciałby być mną; dosłownie: bycie mną ssie.

### 3.

UCIEKAŁA, JAK GDYBY GONILI JĄ WSZYSCY DIABLI. Gałęzie chłostały niemiłosiernie twarz, ręce, nogi... Chlast, chlast, chlast. Zaciskała mocno zęby, aby stłumić instynktowne protesty. Pouzała się nad sobą później. Dwa lata morderczego szkolenia zrobiły swoje - nawet w panice potrafiła się poruszać bezszelestnie, tylko te gałęzie wszystko psuły! Po prostu nie miała jak ich ominąć. Nawet z wielką dziurą w łydce (skąd, do cholery, ktoś w środku słowiańskich lasów miał chińską halabardę?!). Cała reszta zadrapań, siniaków i nacięć nie mogła mieć większego wpływu na to, jak się poruszała. Dziura mogła, ale musiała biec, bo iście gonili ją wszyscy diabli.

Szybciej! Szybciej! Szybciej!

Przyspieszyła, czerpiąc energię jakby z ziemi, której prawie już nie dotykała w tym pędzie.

Jakim cudem była taka ślepa?! Jakim cudem dała się wciągnąć w to bagno tak głęboko?! Przecież wiedziała, że polują na Rządzonych ze Znakiem *Zmiany*! Zaaaaa coooooo?! Mogła sobie tylko pogratulować głupoty i mieć wielką nadzieję, że zdarzy się cud i jakoś się z tego wyplącze. Wolałaby nie wiedzieć, co się stanie, jeśli uda im się ją złapać. Pierdolone, napalone skurwysyny. Nie sprzeda skóry tanio w niewolę! Nigdy! Jeśli ją dopadną, to nie odpuszczą, dopóki jej nie złamią i nie zmuszą do Przywiązania. Przecież po to chuję polowali.

Ostry, oszałamiający ból przeszył ramię, a jakaś siła obróciła ją o sto osiemdziesiąt stopni. Zachwiała się, ale udało jej się zachować równowagę. Z ramienia wystawała bardzo długa, bardzo gruba i bardzo... strzała. Z grotem umazanym krwią i kawałkami mięsa. Skąd oni wzięli takie bydlę?! Przeszło na wylot! *She was so screwed*<sup>[1]</sup>. Jeśli skurwiele mieli podobne zabawki na podorędziu, to zaiste miała przesrane.

Powiodła spojrzeniem dokoła. Wyjątkowo złe miejsce do walki. Za dużo drzew, żadnych większych prześwitów. Na dodatek cholery były wysokie, bez niskich gałęzi, na które mogłaby uciec. Chrzanione modrzewie. Miała mnóstwo miejsca, aby się schować, i tysiące przeszkód utrudniających dalszą ucieczkę. Zdecydowanie niedobre miejsce do starcia dla kogoś takiego jak ona. Kurwa, kurwa, kurwa.

Na widok wyłaniającej się bandy zasyczała rozwścieczona. Sześciu Rządzących na nią jedną. Na dodatek o umiejętnościach uwłaczających jej godności. Cholerne pomioty miały góra po trzy Znaki. Ilość nad jakością i niestety miała przejebane jak stąd na Plutona.

- Śliczna - mruknął jeden z nich, oblizując się obelżywie. - Smaczniutka.
- Będzie moja - zachichotał drugi, dryblas o zdecydowanie za długiej i za

szerokiej twarzy poznaczonej bliznami. – To moja kolej.

Zaśmiali się.

– Chyba śnisz, sukinsynu – wycedziła.

Wściekła chwyciła oburącz za drzewiec wystającej z przodu mamuciej strzały. Odłamała grot. Rzuciła nim w skurwiela, który chciał położyć na niej swoje brudne łapska. Wiedziała, że nie trafi, ale nie o to chodziło. Jeśli uwierzą, że nadal ma w sobie dość siły, aby im się przeciwstawić, zyska jakieś szanse na przeżycie. Może to będzie ten cud.

O dziwo, trafiła w stopę dryblas. Pierwsza krew. Krew wrogów.

– Suka! – zawył. – Pożałujesz, dziwko!

Wciągnęła w płuca powietrze przesycone metalicznym zapachem krwi. Adrenalina posłusznie wlała się strumieniami w żyły, tłumiąc ból. Wyjęła pozostałą część strzały. Miała dostateczną długość, nada się jako prowizoryczna broń. Potem będzie musiała sięgnąć po *Zmianę* – jeśli jeszcze będzie co zmieniać. Ewentualnie się wykrwawi. Przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę.

Usłyszała szelest liści po lewej stronie. Odwróciła się w ostatnim momencie, uderzyła drzewcem jak pałą, wykorzystując moment obrotu. Chrobot łamanych kości potwierdził to, co poczuło samo ramię – trafiła, i to wystarczająco mocno. Nie miała czasu nawet się zastanowić, gdzie padł cios. Ruszyli na nią, na hura.

Ożeż kurwa.

Pomocy.

To była ostatnia świadoma myśl, na jaką znalazła czas. Uskakiwała, broniła się, atakowała, ale kawałek drewnianej pałki nie mógł się równać z zabawkami, które przynieśli ze sobą tamci. Prowizoryczna broń poszła w drzazgi szybciej, niż miała nadzieję. Każdy ruch sprawiał ogromny ból. Traciła prędkość, zwinność i ostrość widzenia. Traciła za dużo krwi. Za dużo czasu.

Nie da rady.

Do kurwy nędzy, nie da rady.

Niech się ktoś zlituje!!! Nie chcę tak!!!

W ostatniej chwili zauważyła pędzący w jej kierunku oszczep. Była za wolna, nie zdążyła odskoczyć. Włócznia rozerwała bok, przygwoździła ubranie do drzewa. Uderzenie wypchnęło powietrze z obolałych płuc, aż świat na moment przykryła czarna mgła.

– Mamy cię, suko – sapnął dryblas. – Gdy będziesz już moja, to nauczysz się szacunku. – Splunął krwią.

Kilka kolejnych chwil okryła mgła. Wbiła przeciwnikowi marną resztkę drzewca pod żebra. Może nawet coś przebiła. Zachichotała. Och, miała przesrane na całej linii i to było takie tragicznie zabawne. Naprawdę zabawne. Ona, która przysięgała nigdy nie dać się Przywiązać, zostanie zmuszona do tego upadającego związku. Zredukowana do bezmyślnej zabawki w rękach jakiegoś zawszonego troglodyty.

Och, jakież to było zabawne. Chichot sam wyrwał się jej z ust. Umysł

miała jeszcze dostatecznie klarowny, aby wykorzystać kolejny ze Znaków. Lepiej, żeby na razie nie mdlała. Świat nabrał trochę więcej wyrazistości, wciąż jednak pozostawał rozmyty.

- Co cię tak śmiesz? - warknął dryblas, podchodząc zdecydowanie zbyt blisko. - Co, pytam?!

O, jak miło! Mała panika po stronie skurwieli! To ostatni moment, aby ktoś jej pomógł. Zdecydowanie ostatni. Nie pozwoli temu śmierdzielowi położyć na niej swoich łap. Nigdy. Uderzył ją w twarz. Gdyby nie była tak obolała i gdyby miała więcej krwi w ciele niż poza nim, może zareagowałaby inaczej niż zduszonym chichotem. A zresztą. Uniosła gwałtownie zdrową nogę i wbiła kolano między nogi troglodyty. Zawył, zataczając się w tył.

- Nie twój zasrany interes - wyczarczała.

- Jebana pizda - warknął.

Napędzany siłą złości wrócił do niej, uderzył pięścią w brzuch. Krew wypełniła jej usta, sprawiając, że wydała z siebie mało elegancki bulgot. Och, sytuacja stawała się coraz bardziej obiecująca. Dryblas wepchnął swoje obrzydliwe paluchy w dziurę w jej ramieniu i zacisnął. Wrzasnęła, ale nie straciła przytomności, utrzymywana wciąż przez *Siłę*. Jeśli jeszcze trochę go podrażni, może zabije ją z rozpędu. Zamęczy. Pomimo nadzwyczajnej wytrzymałości, jaką dawało jej posiadanie Znaków, ona również miała pewne granice. Wystarczyło doprowadzić do tego, aby przeciągnął strunę.

Zamruczała cicho, ogarnięta jakąś irracjonalną namiętnością.

- Tak się nie traktuje damy - oznajmił ostry głos, gdzieś znad jej głowy.

Gdyby nie parę dziur w ciele, uniosłaby głowę, aby zobaczyć, kto właśnie nazwał ją damą, naprawdę by to zrobiła. Zabrakło jej już na to sił, ale ten ktoś jej wybaczy, na pewno. W końcu przybył z odsieczą, prawda? Raczej nie będzie miał za złe tego, że była zbyt wycieńczona, aby się przywitać.

- Kto, do kurwy... - zasyczał dryblas i uniósł swój zawszony łeb.

- Takie słowa? Przy damie? Nieładnie.

Wiatr musnął jej skórę niczym wygłodniałe dłonie kochanka. Zadrzała mimowolnie, zagryzła wargę, zatrzymując wszelkie zdradzieckie dźwięki. Nieprzyjemne drapanie w okolicach pośladków powiedziało jej, że zaczęła mimowolnie ocierać się o pień. Zdecydowanie straciła za dużo krwi. Dryblas odsunął się od niej szybko, wyraźnie przerażony. Krzyczał, ale niewiele w tym było artykułowanych słów czy sensu. Bał się, czuła to. A to jej się bardzo, bardzo podobało.

Wiatr, który jeszcze przed chwilą bawił się jej skórą, przybrał wyraźnie na sile, porywając w swoim szalonym pędzie leśną ściółkę. Przestała cokolwiek widzieć poza powstałym w ten sposób bezpiecznym kręgiem. Świat znowu pokryła czarna, nieprzenikniona mgła. Zdecydowanie traciła przytomność, co na jakimś bliżej niezrozumiałym poziomie ją bawiło. Miała szansę zejść z tego świata, zanim ją dopadną. Cudnie, cudnie!

- Ani się waż - powiedział rozkazujący głos, który przywołał ją do rzeczywistości.

Nie lubiła tego głosu. Zdecydowanie nieeee... Był zły i niedobry, bo kazał jej wracać. Głowa opadła na bok. Sama! Naprawdę sama! Uśmiechnęła się lekko, zadowolona, że może w końcu uda jej się uciec.

- Skup się. - Właściciel zdecydowanego tonu położył dłoń na jej policzkach, podniósł tę strasznie ciężką głowę.

Spojrzała na niego. No, spróbowała przynajmniej. Powieki odmawiały już posłuszeństwa. Dostrzegła tylko niewyraźny zarys twarzy, otoczony czymś ciemnym i miękkim. Całą resztę pokrywały łaty. Niektóre były czerwone.

- Skupiam, skupiam - wykaślała, plując krwią.

- Jesteś Przywiązana?

Zmarszczyła brwi. Dziiiiwne. Nie chodziło nawet o samo pytanie, a raczej o ton głosu, o to, co ze sobą niósł, o znaczenie, którego jej ociemniały z braku krwi umysł nie potrafił odczytać. Chwilę jej zajęło, zanim z powrotem zwróciła ześlimaczałą uwagę na to, że o coś pytał. Pokręciła głową.

- Zgodnie z Prawem nie mogę ich przegonić. Mogą się ubiegać o Przywiązanie.

- *No fucking way*<sup>[2]</sup> - wydyszała, przejęta obrzydzeniem na samą myśl o tym, że któryś z tych gnojków mógłby się znowu do niej choćby zbliżyć. - Czy to wygląda... na... ubieganie?! - Zachichotała idiotycznie.

- Wybierz mnie, to ci pomogę.

- Nie chcę - wymruczała, czując, że coraz bardziej odpływa w świat ciemności.

- Ty decydujesz. Wybierz mnie, a wtedy ci pomogę. Tylko wtedy.

Poczuła, że traci świadomość, że przelatuje przez palce trzymających ją dłoni. Przestała już nawet chichotać, nie miała siły. W końcu się wykończyła. O bogowie, pozwólcie jej umrzeć i uciec od tego wszystkiego raz na zawsze!

- Lea!

Jak on to robił, że jego słowa brzmiały jak komenda, której nie mogła się przeciwstawić? I skąd wiedział, jak miała na imię?

- Wybierz mnie!

...to ci pomogę - dokończył jej zmęczony, ociężały umysł. Naprawdę to zrobi? Nawet nie wiedziała, kim jest, a miała mu pozwolić na... *Oh, screw it*<sup>[3]</sup>. Tak jak wiedziała, że nie będzie się na nią gniewać za to, że się z nim nie przywitała jak należy, gdy się pojawił, tak samo wiedziała, że nie pozwoli jej umrzeć. Po prostu wiedziała.

- Zgadzam się!

---

[1] *She was so screwed* - tu: miała przesrane.

[2] *No fucking way* - tu: nie ma mowy, kurwa!

[3] *Oh, screw it* - tu: a, pieprzyć to.

## 4.

PIERWSZY PROBLEM, JAK SĄDZIŁA LEA, POLEGAŁ NA TYM, że to ona była Rozczarowaniem, a Daniela - wielką Rewelacją. Od czasu Ceremonii u Babki Lea przywdziewała Maskę Poprawności, gdy tylko widywała się z Rodziną. A, należy dodać, przebywała z nią coraz mniej. Spotkania zaczęły wyglądać przygnębiająco podobnie - wszystkie dotyczyły tylko jednej Sprawy. Rodzice też zachowywali pełen uprzejmości spokój, choć Lea widziała, jak niejednokrotnie zaciskali znacząco dłonie na sztuccach. Tak, sama miewała ochotę wbić to i owo temu i owemu w to i owo. Bardzo, bardzo silną ochotę. Przy takim rozwoju spraw Lea nie wahała się użyć najbardziej błahego powodu, by osiągnąć upragniony cel - ograniczyć kontakty z Rodziną. Tak oto stała się Mistrzynią Wymówek, co, jak pokazała przyszłość, okazało się wyjątkowo przydatną umiejętnością.

Pomimo ograniczenia ilości widzeń z Rodziną spotkania z Danielą pozostały wciąż częste, choć do świadomości Lei powoli przedostawała się myśl, że to już nie jest jej ukochana, rozkoszna młodsza siostrzyczka. Musiała w końcu dojrzeć Prawdę. Świat Daniela się zmienił i nie było w nim miejsca dla Lei, bo Lea nie była odpowiednia, aby zostać mieszkanką Krainy Czarów. Nawet gdyby znalazła odpowiednią Króliczą Dziurę, to zapewne nie dostałaby do niej Klucza. Daniela nie przepuściła żadnej okazji, aby wypomnieć kuzynce ten fakt. Zwłaszcza gdy miała publiczność. Jak wytrawna aktorka odgrywała swoje okrutne przedstawienie, pełne złośliwości i raniących uwag. Z gracją salonowej damy wbijała sztylet prosto w serce. Najbardziej lubiła, gdy oglądała ją Rodzina lub Przyjaciele. O tak, Daniela lubiła poniżać innych, a zwłaszcza Leę. Nie wiedziała, ile czasu zajęło Kuzynce odnalezienie się w Krainie Czarów, choć spodziewała się, że Daniela nie miała z tym większych problemów. Dziewczyna od zawsze potrafiła odpowiednio się w grupie ustawić, zręcznie lawirowała między układami w poszukiwaniu najbardziej dla siebie odpowiedniego, przynoszącego najwięcej korzyści. I tak oto na któreś z kolei wspólne wyjście przyprowadziła dwóch starszych od nich obu mężczyzn. Lea była już dość dużą dziewczynką, aby zacząć myśleć o swoich rówieśnikach w kategoriach kobiecych oraz męskich, nie zaś dziewczęcych i chłopięcych. W tym przypadku i tak miałyby znaczące trudności z użyciem zdrobnień. Przyjaciele wydawali się zafascynowani Danielą - niewysoką brunetką o dużych, okrągłych, bursztynowych oczach. Ich własne miały uroczy, zmysłowy, migdałowy kształt, z tęczęwkami pokolorowanymi przez naturę w niezwykle sposób. Kiedy Lea zobaczyła te egzotyczne klejnoty, zachwyciła się ich pięknem (górze wzięło umiłowanie estetyki). Ale pomimo swojej

doskonałości miały jedną poważną wadę – nie odbijały Lei. Spotkania z Przyjaciółmi Daniela nauczyły ją, jak ciężko przebywa się z tymi, którzy traktują ją jak powietrze. Poza wymuszonymi przez okoliczności przejawami wyuczonych grzeczności – nie istniała. Przy Spotkaniach Przed miała przynajmniej ratunek w postaci swojej ukochanej Kuzynki, teraz Daniela też nie zauważała nikogo poza mieszkańcami Krainy Czarów. Choć bolesna, ta lekcja dała Lei narzędzie przydatne później w przetrwaniu. Narzędzie, którego nic innego nie byłoby w stanie tak skutecznie ukształtować.

Drugi problem pojawił się w już i tak mało poukładanym życiu Lei dość niespodziewanie. W pewnym momencie bowiem zorientowała się, że baczniej obserwuje jednego z Przyjaciół. Jeremiasz był wysoki, smukły, czarnowłosy, o figurze zawodowego lekkoatlety. Miał spojrzenie, którym potrafił omamić każdą kobietę, niezależnie od wieku. Lei nie przeszkadzało wcale, że nigdy nie poświęcił jej nawet chwili swego cennego czasu, nigdy na nią nie spojrzął W Ten Sposób. A jednak, i pomimo wszystko, zakochała się w Jeremiaszu.

Siedzieli w malowniczej kawiarence z niepasującymi do siebie meblami. Wcześniej obejrżeli w kinie film, który Lei się nie podobał, a Daniela i Przyjaciół zachwycił. A teraz popijali bohemicznie dziwną herbatę. Lea, poza uwagą, oni, pogrążeni w rozmowie o tym, co zobaczyli. Zatopiona w blasku uwielbienia Daniela opowiadała o filmie z wypiekami na polikach, gestykułując żywo, wznosząc wzrok w ekstazie na dźwięk własnych słów. Mężczyźni patrzyli na nią i spijali słowa z jej różanych ust. Naprzeciw Lei, oddzieleni przestrzenią stolika i filiżanek, siedzieli Daniela z Jeremiaszem. Czarnowłosy Adonis znajdował się w polu największego natężenia Zachwytu, otulającego oba ciała, unoszącego się leniwie, dymnie ku wyklejonemu woluminami starych książek sufitowi. By na zawsze wnikać w mury kawiarenki. Lea już tu nie przyjdzie. Nie, gdy Daniela pozostawiła za sobą ten dym. Swój Zachwyt nad czymś, co nie zasługiwało nawet na skrę uwagi.

Poza sporadycznymi spotkaniami z Rewelacją i jej Przyjaciółmi Lea starała się unikać miejsc Daniela. Chadzała raczej po własnych ścieżkach i do własnych miejsc, w których nic nie było Daniela i nic się z nią nie wiązało. Gdzie była Lea, gdzie istniała naprawdę i mogła się odbić w oczach innych osób. Może to był bunt przeciw statusowi Rewelacji, a może coś innego – wolała tego nie analizować, spodziewając się tylko mało przyjemnych odkryć. Tak była bezpieczniejsza, w granicach własnego umysłu, do którego z całych sił zabraniała Kuzynce wstępu.

Zirytowana własnymi myślami wstała, poprawiła spódniczkę i żwawym krokiem poszła do łazienki, ignorując pogrążonych w Zachwycie i wykorzystując siłę obcasów, jakie dzisiaj dekorowały jej stopy. Lea, jak większość zakochanych kobiet, ubierała się w sposób odmienny od codziennego, jeśli plan dnia przewidywał spotkanie z obiektem uczuć. Bardziej zaznaczała fizyczne zalety ciała oraz z większą pasją ukrywała



niedoskonałości. Obcasy były magią, której nie wahała się użyć, aby zwrócić na siebie uwagę. Konkretną uwagę.

Niebieskie, podniszczone drzwi niewielkiej łazienki oddzieliły ją od kawiarenki. Opary środków dezynfekujących zmyły ze skóry dym Zachwytu. Zamknęła oczy i skupiła się na oddychaniu. To był azyl, na jaki Lea mogła sobie pozwolić. Z daleka od słodkich spojrzeń Jeremiasza, z daleka od zaróżowionych polików Danieli, rozognionych dotyków ich dłoni, splecionych ramion i bliskości ciał. Jeremiasz był pewny siebie, swojego uroku i wpływu. Zachowywał się niczym księżę z bajki, którym, jak podejrzewała nieraz Lea, chciał być dla innych kobiet. Odgrywał wcześniej zapisaną scenę – ściągał na siebie uwagę, pławił się w tej, jaką otrzymywał. Adonis, podobnie jak towarzysząca mu Rewelacja, musiał mieć publiczność.

Lea spojrzała w lustro. Para szaroniebieskich tęczówek przypominających barwą niebo podczas sztormu wpatrywała się w nią z politowaniem.

- Co ty wyrabiasz - mruknęła do siebie. - Dla niego ciebie nie ma.

Ale musiała to przed sobą przyznać – stała się nieszczęśliwie zakochaną nastolatką, co w zadziwiający sposób doprowadzało ją do szału. Powolnym, niechętnym krokiem wróciła do stolika. Tym razem to Jeremiasz opowiadał, oddając się orgii słów. Jego ramię owijało talię Danieli, jej poliki pokrywał wyraźny czy lekki róż. Na ten słodki obrazek patrzył Drugi Przyjaciel. Ukryty w półcieniu-półświecie tracił ostre linie oddzielające go od rzeczywistości. To właśnie ta scena najbardziej uświadomiła Lei, że cała trójka pochodziła z Krainy Czarów, do której ona nie miała wstępu. Definiowała ją fizyka, ograniczały ramy ciała, nie otaczał dym niesamowitości.

Gdy usiadła na swoim miejscu, Drugi Przyjaciel spojrzał na nią. Para czarnych tęczówek, która zaniepokoiła Leę bardziej niż cokolwiek do tej pory. On widział, ale tak widział-widział, jak nikt po tej stronie rzeczywistości. To spojrzenie, ta myśl sprawiły, że nie mogła się poruszyć. Tak, musiała to przed sobą przyznać – mężczyzna ją przeraził.

- Lea - odezwała się Daniela cichym zmysłowym głosem podszytym złośliwością. - Przynieś nam jeszcze herbaty. Tej samej.

Oderwała wzrok od ciemnych oczu, spojrzała ponownie na Danielę zaplątaną w ramiona Jeremiasza. Przełknęła złośliwą uwagę, jak przełyka się gorzkie leki, niczym dzielny przedszkolak, zachowując niezmienny wyraz twarzy. Skinęła głową i poszła do baru, opuszczając sferę wpływów Krainy Czarów.

Z Jeremiaszem to zdecydowanie nie był dobry pomysł – jeśli w ogóle można mówić o pomysłach w kwestiach zakochania. Każdy drobny, czuły gest, którym obdarzał Danielę, sprawiał Lei ból. A jeszcze większy przynosiła świadomość, że połowę z tych zachowań bardzo dokładnie zaplanowali. Ten drugi problem, jaki nawiedził już i tak mało poukładane życie Lei, sprawił, że przeciągała spotkania z Danielą. A przede wszystkim, czego była w pełni świadoma, przeciągała podjęcie decyzji o opuszczeniu tej namiastki Krainy

Czarów, jaką zapewniał jej kontakt z Kuzynką. Odejście oznaczało niespotykanie Jeremiasza, niemożność obserwowania go. Był przecież jej narkotykiem - odstawienie go spowoduje trudności i kolejną dawkę cierpień. Dla Lei w tym całym emocjonalnym huraganie pojawiła się jednak jedna dobra rzecz - Jeremiasz sprawiał, że zapominała o Danieli.

I zapominała również o drugim mężczyźnie.

## 5.

PORUSZYŁA RAMIONAMI, PRZYNAJMNIEJ NA TYLE, NA ILE BYŁA W STANIE. Syknęła, gdy krew zaczęła znowu normalnie krążyć, pobudzając nerwy do pracy. To chyba nie był taki dobry pomysł. Przeszywający ból bywał znośny, dało się go zignorować, ale takie silne pulsowanie, połączone z dreszczami biorącymi w posiadanie całą górną część ciała, tylko pogarszało całą sytuację (i bolało). Rozsądek kazał jednak przypominać ciału, że musi podjąć wysiłek, musi jeszcze pracować.

Była wściekła. Gdyby wściekłość miała jakąkolwiek materialną formę, wypełniłaby powietrze wokół niej gęstym dymem. Jak wąż owinęłaby się wokół szyi każdego skurwysyna czy skurwycórki, którzy by się tu zjawili, i zacisnęła mocno, mocno, mocno... aż przestaliby oddychać. Zemsta poprzez czystą emocję. Nikt by jej nie zarzucił, że była bezpośrednio winna. Generalnie nie byłaby temu winna, jeśli by jej tu nie zamknęto.

Nie miała pojęcia, jak długo już tak wisiała, przykuta do ściany jakiejś pieprzonej piwnicy, w której śmierdziało stęchlizną i innymi mało miłymi dla jej czułego nosa rzeczami. Wliczając w to jej własne wydzieliny i odchody. Taaak. Gdyby była heroiną w jakiejś przyjemnej powiastce fantastycznej, autor zapewne łaskawie by zapomniał o takim szczególe jak fizjologia... albo wymyślił jakiś zmyslny magiczny trik, aby ciało słuchało rozsądku i oszczędziło bohaterce upokorzenia zsikania się na podłogę. Ale nie była heroiną w żadnej powiastce, w ogóle nie była heroiną.

Pewnym szczęściem w nieszczęściu był fakt, że dotykała zimnej posadzki jedynie palcami u stóp. Mało komfortowa pozycja, zwłaszcza jeśli miała w niej pozostać tak... do końca świata? Na razie stawy ramion wytrzymywały obciążenie, ale to zbyt długo nie potrwa i w końcu wypuszczą ze swoich objęć kości. A to będzie bardzo, baaardzo bolało. Wiedziała z doświadczenia. Wtedy będzie miała parę całkiem dobrej jakości ramion, ale średnio sprawnych. To zdecydowanie nie byłoby pomocnym czynnikiem przy ucieczce czy mordowaniu. Dlatego wyprężała ciało, jak tylko była w stanie, utrzymując równowagę na palcach niczym wytrawna, masochistyczna baletnica, byle tylko ocalić stawy.

Wytrzyma, bywało przecież gorzej.

Nawet kosmicznie gorzej. Wychowawcy w czasie Edukacji nie przebierali w środkach, aby zaszczepić podopiecznym pożądane zachowania. Mieli nauczyć się przeżyć, w jakikolwiek sposób. Nie musieli lubić swoich Wychowawców, to było najmniej istotne. Jako Rządzeni i tak byli przeznaczeni do tego, aby oddać się tylko jednej osobie, tylko ją wielbić i w niej się zatracić. Reszta świata mogła się iść pierdolić... No, mniej więcej

coś w tym stylu. Narzędzie trzeba ostrzyć i o nie dbać, ma być efektywne, a to zakładało sporą dawkę znieczulicy na wyrządzone innym cierpienia.

Oplotła dłonie wokół łańcuchów, zacisnęła mocno. Miała ochotę kogoś zamordować. Na miejscu. Podniosła się lekko do góry, by choć na moment odciążyć plecy. Z gardła uciekł cichy dźwięk protestu, na jaki jeszcze pozwalała zdarta do krwi wrzaskami wściekłości krtań. Wrzaskami, którymi niczego nie wskórała - dodała kwaśno w myślach. A plecy wciąż bolały, tym razem w innych miejscach.

Miała nadzieję, że w jakikolwiek sposób na jej ryki zareagują, wtedy przynajmniej mogłaby spróbować coś zrobić, choćby się stąd wydostać (mało realne, ale próbować zawsze trzeba). A jeśli nie uciec, to chociaż zabić, kogokolwiek, albo dostatecznie poranić, by zaspokoić swoją żądzę zemsty (na trochę). Do tego była pewna, że jej nie zabiją. Cała ta szopka z łańcuchami i zamknięciem miała ją złamać, ułatwić osiągnięcie celu. Podejrzewała, że śmierdząca cela była wstępem do kolejnego aktu sztuki, w której przypadła jej odegranie głównej roli - lalki. Przygotowywali ją tym wszystkim do Przywiązania.

Jeśli dostatecznie ją złamią, zrobi wszystko, czego będą chcieli.

Prędzej się, kurwa, sama ukatrupię.

## 6.

- LEA.

Ze słuchawki popłynął cichy męski głos, melodyjny pomruk głosek. Ogarnęło ją bezgraniczne poczucie szczęścia i przynależności, a także jeszcze jedno, zbliżone do podstawowych instynktów odziedziczonych po odległych przodkach.

Oddychaj, upomniała się. Zbyt łatwo przychodziło zapomnianie o tak prostej czynności, kiedy tylko słyszała jego głos. Wystarczyło jedno słowo, a miała ochotę ocierać się o wszystko wokół niczym kotka w rui. I całe opanowanie szło w cholerę. Działał na nią jak kocimiętka i choć takie głupkowate zachowania głównie we własnym wykonaniu straszliwie ją denerwowały, przy nim nie potrafiła zachować się w żaden inny sposób. Postanowienia zachowania stoickiego spokoju wylatywały przez okno. Położyła głowę na biurku, starając się uspokoić oszalałe emocje oraz pragnienia.

Zbyt długo nie słyszała jego mruczenia, zdecydowanie zbyt długo.

Skup się na czymś innym. Skup się!

- Andriej mówił, że chcę z tobą porozmawiać - wydusiła, przywołując głos do porządku. - Jest środek nocy.

Miała nadzieję, że zmiana tematu pomoże. Że jeśli zacznie mówić normalnie, przestanie reagować jak głupi, zakochany w swoim idolu podlotek. Przecież nie wielbiła go niczym bezgranicznie oddana fanka, nie stanowił dla niej nieosiągalnego bóstewka... Był człowiekiem z krwi i kości - wiedziała to, ba! sprawdziła własnymi rękoma.

- Lea - zamruczał ponownie, rozbawiony; doskonale wiedział, co z nią robił.

- Przestań. Pracuję.

- Lubię, kiedy nie możesz się skupić. - Z drugiej strony słuchawki popłynął do niej cichy, zduszony śmiech.

- Szymon - westchnęła. - Jesteś pół globu stąd. Nie znęcaj się.

- Musiałem cię usłyszeć - szepnął.

Zamknęła oczy, powstrzymując zbierające się łzy. Takie drobne uwagi, proste słowa wyjęte jakby ze stronic taniego romansidła - to wszystko, na co mogła liczyć. Sytuacja była trudna, niesamowicie trudna. Kiedy miała czternaście lat, świat stanął na głowie, gdy skończyła szesnaście, rozpadł się na kawałki. Nic nie pozostało w nim normalne. Gruzy rzeczywistości, gruzy sensu i świata.

Aż pojawił się Szymon.

- Wszystko dobrze? - spytał, a ona uśmiechnęła się lekko, wdzięczna za

jego intuicję.

- Jest jak zawsze. Zgromadzenie nudne jak zawsze. Daniela i spółka tłumaczą swoje popieprzone wywody filozoficzne jak zawsze. Żyją szczęśliwie we własnym światku. Żadnych wieści, żadnych walk, żadnych Przywiązań. Nadal się upierają, że muszą wszystko kontrolować, że to oni mają jedyne prawo do...

- Lea, kotku.

Uśmiechnęła się na dźwięk tego zdrobnienia.

- Bądź ostrożna, dobrze? - kontynuował. - Znak *Zmiany* nie jest aż tak częsty, jak większość by sobie tego życzyła. Jesteś chyba jedynie oficjalnie nie-Przywiązaną z takim Znakiem. Adele znalazła sobie cudowną partnerkę tutaj, w Australii, i nie zamierza wracać do naszego bagienka. Nie dziwię się, ale jej nieobecność zwróci na ciebie większą uwagę.

- Jestem ostrożna. - Lea westchnęła, prostując się na krześle. - Trzymam się swojego cienia i swojej gałęzi, nie kłócę się i nie biję z innymi dziećmi. Mam pracę i studia, staram się nie wchodzić im wszystkim w oczy. Poza tym oni są przekonani, że mam ledwo trzy Znaki.

- Nadal jednak jesteś bardzo atrakcyjna - wymruczał.

Poznała po głosie, że się martwił. Wiedziała, że miał na myśli zupełnie co innego, ale i tak zagryzła mocno wargi i uderzyła pięścią w stół. Od bardzo dawna wiedziała, jak boląca kończyna cudownie odciąga myśli od... Uderzyła ponownie.

- Lea! - warknął Szymon. - Przestań. Zrobisz sobie krzywdę, a musisz być w pełni sprawna na wypadek...

- Wróć w końcu - przerwała mu cicho. - Wróć, to nie będę musiała.

- Jeszcze trochę, obiecuję, jeszcze trochę.

## 7.

LEA SĄDZIŁA, ŻE KRAINA CZARÓW DANIELI TO JAKIEŚ BLIŻEJ nieokreślone cudowne miejsce, w którym przebywały osoby wyjęte spośród stronic najpiękniejszych baśni. W jej wyobraźni przypominała trochę Nibylandię, a trochę krainę Alicji – pełną kwiatów, ciepłych kolorów, szczęśliwych ludzi. Świetlista harmonia, gdzie wszyscy byli piękni, zdrowi, radośni. Taki obraz potęgowała tylko niezemska aura bijąca od Jeremiasza – już na zawsze zapamięta go rozpromienionego, w objęciach Danieli, po tamtym filmie, w kawiarni z książkami przyklejonymi do sufitu. Kiedy Lea spotykała się z Danielą i Przyjaciółmi, wyobraźnia posłusznie, w charakterystyczny dla siebie okrutny sposób podsuwała jej utopijne wizje, w których i ona była częścią ich świata. Te mentalne iluzje były kolejnym powodem, dla którego tak długo odkładała odsunięcie się od Danieli i jej Przyjaciół. W końcu jednak odeszła, by wrócić do normalności sprzed Ceremonii, by znowu być osobną istotą, niezwiązaną ze „skazą”. Lea odeszła, by przestać być Rozczarowaniem.

Jednak, gdy w końcu podjęła ten krok, niedługo cieszyła się zwykłym życiem – przynajmniej takim, jakie było jej wówczas dostępne. Pewnego bowiem dnia Lea poznała Krainę Czarów osobiście i ta Kraina Czarów wcale nie przypominała sielskiej krainy, jaką sobie wyobrażała. Na dodatek wejście do niej nie okazało się ani piękne, ani harmonijne, ani cudowne. Lea zapłaciła za ten wątpliwy przywilej cenę wyższą, niż kiedykolwiek mogła się spodziewać. Niż w ogóle byłaby skłonna zapłacić.

Wejście do Krainy Czarów otworzyło się przed Leą niespodziewanie, bez zapowiedzi, niosło jednak wszelkie znamiona zdarzenia zbyt nagłego, by mogła je później swobodnie zrekonstruować. Niewiele pamiętała ze swojego przejścia na drugą stronę lustra. Wracała z koleżanką z klubu, wieczorem, oświetloną, pustą ulicą, a chwilę później stała w tym samym miejscu, cała we krwi, z trzema trupami u stóp. Jednym z nich była towarzyszką Lei. Choć zwłoki dziewczyny w przeciwieństwie do pozostałych nie były rozszarpane, widok jej poplamionej krwią bluzki nawiedzał sny Lei jeszcze przez długi czas. Jak wykazały badania policyjne, Lea miała na sobie jedynie posokę mężczyzn znanych w okolicy z licznych, brutalnych napadów na kobiety. Nie postawiono jej zarzutów, chociaż jakimś sposobem rozerwała napastników na strzępy. Nikt nie wątpił, że to jej ręce zamieniły mężczyzn w bliżej nieokreśloną masę mięsa i krwi.

Nie miała pojęcia, jakim cudem udało jej się tego dokonać. Po dość pobieżnych badaniach, po godzinach spędzonych w areszcie w zakrwawionym ubraniu, pozwolono jej wrócić do domu. Dlaczego? Tego

też nie wiedziała.

Matka bez słowa zaprowadziła Leę do łazienki, zostawiła samą. Od kiedy przyjechała po nią na posterunek, zachowywała się nienaturalnie cicho. Nie było to aż tak dziwne, w końcu matki nie przepadały za odbieraniem w środku nocy telefonów od miłego pana policjanta, który oznajmiał, że ich córka właśnie kogoś zabiła. Lea zdusiła histeryczny chichot, przeciskający się przez gardło. W trudnych sytuacjach jej organizm zwykł reagować w podobny sposób. Na szafce leżały świeże ubrania. Czyste i pachnące. Spojrzała na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Czytała kiedyś, że koszmary wracały nawet lata po zdarzeniu, gdy zamykało się oczy, czekały tuż pod powiekami. Więc dlaczego zamiast siebie w tafli lustra widziała nie siebie, a tamtą uliczkę?

Czuła się brudna, jakby jej skórę zanurzono w gnojówce. Ciało okrywały strzępy materiału, które, jak pamiętała, kiedyś były ubraniami... które, jak kiedyś pamiętała, były jej ubraniami. Nie była już pewna, czy cokolwiek, co pamiętała, było kiedykolwiek prawdą. Może nawet te strzępy nosiły oryginalnie inny kolor niż ciemny, odrażający brąz. Zasnęta krew nie miała ładnej barwy. Rozszarpane ciała również nie miały ani ładnej barwy, ani estetycznego wyglądu, ani przyjemnego zapachu.

Przedziwnie sztywnymi rękoma zdzierała z siebie płaty przyschniętych szmat. Piekło, jakby część tej krwi należała również do niej. Na posterunku nikt nie zbadał, czy jest ranna, a na pytania Lea odpowiadała, że wszystko jest w porządku, że jest cała. Nikt nie wymusił badania, nie wezwał lekarza. Tylko Matkę.

W zdradzieckie lustro spojrzała ponownie, dopiero gdy pozbyła się już wszystkiego, poza własną skórą - jej zdjąć już nie mogła. Fakt, że nie byłoby to zbyt mądrym zabiegiem, wołała zignorować. Gładka powierzchnia nie odbijała już tamtej uliczki skąpanej we krwi i ludzkich szczątkach, ale nie odbijała również Lei. Osoba, która patrzyła na nią z wnętrza lustra, była zbyt brudna, zbyt podrapana, a przede wszystkim miała na ciele czarne, zaognione, sączące krew tatuaże. A przecież Lea nie miała tatuaży. Prawda?

Nie, nie miała tatuaży. To, co pokrywało jej skórę, nie było dziełem igły i atramentu. Lea wkroczyła do Krainy Czarów z pięcioma czarnymi Znakami tańczącymi po jej ciele, pozostawiającymi za sobą krwawe ślady niewidzialnych stóp. Wkroczyła do Krainy Czarów tylnymi drzwiami, po cichu, bez Ceremonii czy Aklamacji. Nie była nawet pewna, czy ktokolwiek w Rodzinie wiedział, że Rozczarowanie okazało się mniejszym Rozczarowaniem, niż do tej pory sądzono. Babka nie zadzwoniła, nie zaprosiła Lei do siebie, nie zamieniła z nią choćby słowa. A przecież to ona, jako najstarsza członkini tej symbolicznie magicznej prostej linii żeńskiej słowiańskiego Rodu, była zawsze najbardziej zainteresowana, aby pierwsza córka córki miała „skazę”, o której wciąż mamrotała pod nosem. Lea miała Znaki, miała ich nawet tyle samo, co Daniela, jednak w oczach Babki nadal była tą gorszą, nadal była Rozczarowaniem. Matka z czułością



i delikatnością, jakich Lea się nie spodziewała, oznajmiła, że Babka jest na Leę Obrażona i że nie powinna się tym teraz przejmować. Nie rozumiała tego, ale też i nigdy do końca nie rozumiała zachowań Babki. Matka wytłumaczyła jej również, że nie powinna nikomu opowiadać o tym, co tańczy na jej skórze, ani nawet tego, że owe ciemne symbole co pewien czas zmieniały położenie.

Pomimo przynależności do mistycznej Krainy Czarów Lea najwyraźniej nadal nie była tym, kim stała się Daniela, i to było powodem Obrażenia. Wytłumaczono jej wszystko dość ogólnie, w malutkiej ciemnej salce, do której Matka przyprowadziła Leę dwa tygodnie po napaści. Wytłumaczył jej to Ktoś, kogo nie знаła. Kraina Czarów miała swoją hierarchię. Drabinę. Kolejność dziobania. Zależności wewnętrzne. Daniela znalazła się na górnych piętrach drabiny, pierwsza dziobała i Rządziła. Lea znajdowała się na dolnych piętrach drabiny, dziobała po Danieli i to nią Rządzono. Nic nie mogło odwrócić tej zależności. Taka się urodziła, taki jest jej los. Powinna przejść nad tym do porządku dziennego i cieszyć się swoją wyjątkowością na tym świecie.

Ponieważ Ktoś wydawał się Lei osobą, która dobrze rozumie dziwne reguły obowiązujące w Krainie Czarów, chciała zapytać, dlaczego Znaki na jej ciele tańczyły, a czasem zupełnie znikwały. Wiedziała już wtedy, że mogła tym kierować, jeśli tylko chciała. Wyryci w jej skórze tancerze zdawali się być szczęśliwi, gdy kierowała ich ruchem. Czasem nawet miała wrażenie, że w takich chwilach wyczuwa emanujące ze Znaków zadowolenie. Po tym jednak, jak Ktoś z poważną miną opowiedział jej o Drabinie, zrezygnowała z pytania. Lei nie podobała się historia o Drabinie, a jeszcze mniej podobał lekko kpiący ton, którym Ktoś wypowiadał słowo „Rządzona”, oraz fatalistyczna rada, iż powinna się z tym wszystkim po prostu pogodzić, bo taka już była. Lektura książek fantastycznych sprawiła, że Lea wykształciła w sobie pewne, słuszne zresztą, przekonanie: lepiej wyglądać na słabszego i nie rzucać się zanadto w oczy, zwłaszcza na wrogim terenie. A Kraina Czarów zaczynała właśnie takowy przypominać. Nie bardzo słuchała więc metafizyczno-magiczno-astrologiczno-biologicznych wyjaśnień Ktosia i doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli na razie w Krainie Czarów pokaże jedynie trzy Znaki. Wybrała je zgodnie z estetycznym uznaniem, nie przejmując się tym, że nie wiedziała nawet, co znaczą.

W ten sposób w wielkiej, opasanej skórą księdze Lea została zapisana jako „Leokadia (Lea), Rządzona, trzy Znaki”. W odpowiedniej rubryce Ktoś wyrysował owe, pokazane przez nią Znaki, nie wytłumaczył jednak ich symboliki. Pod koniec rozmowy dodał, że teraz już wszystko mieli zapisane i nic nie da się już zmienić, nawet gdyby chciała. Matce przekazał, że wkrótce prześlą zaproszenie na pierwszy Obóz i że dobrze się składa, że trwają wakacje, bo będzie mniej problemów. Jakich problemów, jaki Obóz i czemu dobrze, oczywiście jej już nie powiedział. Dopiero później Lei wytłumaczyła to wszystko Matka.

I to też się Lei nie spodobało.

Obóz nie spodobał jej się jeszcze bardziej. Żadnej nastolatce nie mógł się podobać Obóz przygotowany i zaplanowany przez grupę dorosłych, masochistycznych marines. A tak właśnie wyglądało miejsce, które miało zmniejszyć ilość problemów, jakie przyniosło wypełnienie przez Leę oczekiwań Babki. Częściowe wypełnienie - bo przecież nie była taka jak Daniela, nie była tą, która Rządziła innymi, a stała się tą, którą miano Rządzić. Hańba! Plama na honorze! Wyrodna! Słyszała w głowie szyderczy śmiech Wujka i Babki. Rozczarowanie zawsze będzie tylko Rozczarowaniem. Nawet jeśli była Rozczarowaniem z czarnymi znamionami na jasnej skórze.

Lea nie była najstarszą osobą na Obozie, ale najstarszą nową osobą. Uświadomiła sobie, że w normalnych przypadkach w tych specjalnych słowiańskich Rodach dzieciaki objawiały swoje niezwykle zdolności w dość młodym wieku. Poza tym, jak Lei w którymś momencie powiedziano, im większą ilość Znaków miał nosić Spadkobierca, tym później się ujawniały. Tutaj wskazywano przykład Danieli, której Piątka (wymawiali tę liczbę zawsze przez duże „p”, jak jakiś tytuł) pojawiła się dopiero w dwunastym roku życia. Z tego powodu Leę nawet tutaj uważano za dziwadło - była stara i Znaków miała tylko trzy. Szesnastolatka z takim miernym wynikiem oznaczała dla Wychowawców jedynie słabą krew i mierny potencjał. Na jej szczęście (bądź nieszczęście) jeden z ciemnych tatuaży w zapomnianym słowiańskim piśmie runicznym oznaczał *Zmianę*. Znak ten miał umożliwić Lei przybranie odmiennego, zwierzęcego kształtu. Pula możliwości ograniczała się jednak do zwierząt o cechach odpowiadających pozostałym noszonym Znakom, jej własnym preferencjom, a także czekającemu ją treningowi.

Umiejętność *Zmiany* była rzadka, silnie związana z dziedzictwem krwi (jak wszystko w Krainie Czarów), aczkolwiek nie przechodziła przez drzewa genealogiczne tak płynnie jak pozostałe Znaki. Była cechą eufemistycznie określaną mianem kapryśnej. Ponieważ Rządzeni zawsze byli wybierani przez któregoś Rządzącego, aby mu służyli zależnie od swojej użyteczności, dlatego rzadko mieli możliwość założenia własnych rodzin i wydawania na świat potomstwa. A ponieważ możliwość zmiany kształtu na lepszy, szybszy, silniejszy stanowiła zdecydowaną pożądaną broń, ten Znak był cenioną cechą. Ze względu jednak na „nieprawidłowe korzystanie” w pewnym momencie *Zmiana* zaczęła znikać z puli genetycznej Rodów. Ta teoria brzmiała naprawdę pięknie, ale w przekonaniu Lei posiadała parę dziur, nie mówiąc już o tym, że była po prostu uwłaczająca dla tej drugiej części mieszkańców Krainy Czarów. Przede wszystkim Lea nie mogła pojąć, jak tworzyły się Rody Rządzonych, skoro nie pozwalano im na zakładanie rodzin, a przecież cały czas Wychowawcy mówili o Rodach, liniach rodowych, drzewach genealogicznych i pulach genów. Propaganda w postaci upartego twierdzenia, że te wszystkie mistyczne magiczne linie nie posiadały żadnych wyjątków, doprowadzała ją wręcz do furii. Raz nawet ośmieliła się wytknąć Wychowawcy niekonsekwencje takiego rozumowania,

zrobiła to jednak tylko jeden raz, a nauczkę zapamiętała do końca życia. W Obozie myślenie nie było pożądane, a więc dociekliwość i bystry umysł przysparzały Lei sporo problemów wśród Wychowawców. W oczach tej lepszej połowy Krainy Czarów ona i jej podobni pozostawali bydlętem rozplodowym i użytecznym pistoletem lub nożem i tak też mieli o sobie myśleć. Taki był cel ich Edukacji. W myśl klasycznej filozofii życia nastoletnich dziewcząt Lea postanowiła, że prędzej się ukatrupi, niż pozwoli komukolwiek na takie pranie mózgu.

Pierwszym etapem Edukacji była kontrola tego, co nazywali cechą wiodącą, w jej wypadku - procesu *Zmiany*. Dość szybko odkryła, że przez pozostawienie sobie *Siły* oraz *Gibkości* ograniczyła wybór zwierzęcych form do kocich drapieżników (przynajmniej Lea w to właśnie chciała wierzyć i generalnie ten wybór się jej nawet najbardziej podobał). Co, o dziwo, nie bardzo odpowiadało samym Wychowawcom, najwyraźniej chcącym przerobić ją w coś bardziej misiwatego czy psiego. Wszystko byłoby pięknie, gdyby na samym niezadowoleniu z ich strony się skończyło. Taka wyraźna niesubordynacja ich Obozowego Dziwadła poskutkowała znaczącym wzrostem elementu znęcania się, przez co odczuła na własnej skórze, dlaczego tak wiele osób uznawało marines za szalonych masochistów.

Nie chodziło nawet o same nieludzkie ćwiczenia, Lea dość szybko nauczyła się, że aby przetrwać, musi skorzystać ze zdolności, jakimi obdarzały ją Znaki. To dało się przeżyć, choć nie bez bólu, dużego, miazdzącego wszystkie zmysły Bólu (przez duże „b”). Doprowadzano ją do płaczu, do wrzasku, ale nigdy do błagania o litość, choć w tym ostatnim przypadku znęcanie bywało tak intensywne, że i tak nie byłaby w stanie o tym pomyśleć. Do samych ćwiczeń i kar z nimi związanych, które dość często Lei wymierzano, gdyż nie chciała grzecznie ugiąć karku, kiedy powinna, dochodziły tortury. One okazały się o wiele trudniejsze do przetrwania. Wychowawcy powtarzali w kółko, że cierpienia miały ich wzmocnić, uodpornić, przygotować do dalszej pracy. Nie miała pojęcia, kto miał na tyle chory umysł, aby skazywać ich na podobne męczarnie, ale obiecała sobie, że jeśli dorwie drania, to rozszarpie go własnymi pazurami. Powoli, aby przedłużyć mękę. Lea przetrwała to wszystko, wyobrażając sobie, jak niszczy tych, którzy to na nią zesłali, tych, którzy to wymyślili, tych, którzy zarządzali tym całym przedsięwzięciem.

Wściekłość i nienawiść pozwoliły Lei przetrwać każdą udrękę i wrócić do szopy, nazywanej barakiem przez Wychowawców, a przez Wychowywanych sypialnią. Dopiero wieczorami, gdy mogła odpocząć, zwinięta na podłodze w kłębek nieszczęść i bólu, z jej ust wyrwał się co chwilę cichy żalony chichot. Oto ironia Losu. Oto Kraina Czarów. W końcu do niej trafiła, tyle że przedostała się nie na tę stronę, co trzeba.

## 8.

KIEDYS WYBUDZENIE PRZYCHODZIŁO POWOLI, LENIWIE, WŁAŚCIWIE NIECHĘTNIE. Potem były Obozy, a po każdym z nich budziła się coraz szybciej, aż w końcu w ciągu ułamka sekundy włączała pełną świadomość. Błyskawicznie oceniała sytuację i szukała potencjalnych zagrożeń. Stopień odniesionych obrażeń nie miał prawa wpłynąć na jej refleks. Zadbano o to. Sprawdzono to. Zawsze spięta, nigdy do końca zrelaksowana, nigdy bezpieczna.

Tym razem jednak przebudzenie przyszło tak samo powoli, leniwie i równie niechętnie jak przed Obozami. Otoczona miękką aksamitną pościelą, schowana w niej jak w kokonie, jak małe kociątko. Było jej ciepło i wygodnie. Zamruczałyby, gdyby nie ten cholerny ból, w który nagle zamieniło się jej ciało. Wolałyby raczej zostać trupem, niż czuć się tak jak teraz.

I po co ty się w ogóle budziłaś, co? *Stuuuuupid!*<sup>[1]</sup>

Mniej czasu zajęłoby wymienienie tego, co jej nie bolało - czyli nic, najwyraźniej nawet najmniejszy centymetr kwadratowy ciała nie pozostał cały. Wspomnienie wydarzeń, które doprowadziły do tego oplakanego stanu, było w najlepszym wypadku mętne. Tak rozległe obrażenia (a o ich wielkości informował ją stopień, w jakim uprzykrzały cieszenie się ciepłym kokonikiem) mogły wywołać bunt ze strony pamięci. Pomimo całego treningu i tego, kim czyniła ją odziedziczona krew, nadal pozostała człowiekiem, przynajmniej w swoim podstawowym wydaniu. Ludzki umysł miał w sobie taki sprytny bezpiecznik, który blokował zbyt drastyczne lub potencjalnie zagrażające mu wydarzenia. Gdzieś o tym czytała. W ogóle dużo czytała, co wprawiało Wychowawców w stan okołopopleksyjny, a jej z kolei sprawiało niezmierną przyjemność.

Przetrzepała dokładnie zasoby pamięci, starając się wygrzebać z nich jak najwięcej użytecznych informacji. Las, ucieczka, banda półdiotów ze zdecydowanie zbyt dużym arsenałem groźnych zabawek i... On. Ktoś, kto pojawił się znikąd, ktoś, kogo reakcje potrafiła określić bez żadnego racjonalnego powodu. Ktoś, kto ją do siebie Przywiązał... No dobra. Ktoś, komu dała pozwolenie, aby się do siebie nawzajem Przywiązali. Generalnie jej Wybawca miał choć tyle dobrych manier, że jej do tego nie zmusił. Przynajmniej nie bezpośrednio. Tak, ta teoria jej się podobała, będzie się jej trzymać. A na razie...

Gdzie ona w ogóle była?

Mruknęła niezadowolona. Spróbowała się przeciągnąć, by ocenić dokładnie straty własne. Tak, najlepiej nie było. Lepiej na razie się nie

ruszać. Leżała na przyjemnie nie-za-miękkim i nie-za-twardym materacu. Była przykryta kołdrą, bardzo lekką, ale nie przykrywało jej już żadne ubranie. Choć miejscami coś dość charakterystycznie ciągnęło za skórę, kiedy podjęła próbę przeciągnięcia. Opatrunki. Całkiem sporo. No, ale pamiętała, że pół-idiotci wykorzystali większość swojego bogatego arsenału. Okej. Dalej. Kalejdoskop jaskrawych plam wywołanych większym niż dotychczas bólem doprowadził ją do słusznej konkluzji, że oczy nadal pozostawały zamknięte. To z kolei tłumaczyło, dlaczego nadal nie bardzo orientowała się w przestrzeni (Wychowawcy przewróciliby się w grobie, gdyby nie fakt, że jeszcze żyli, niestety). Powieki na razie zdecydowanie odmawiały współpracy. Trzeba będzie ponegocjować.

- Ciii, spokojnie, maleńka.

Uspokajający szept, gdzieś po jej lewej stronie. Szelest materiału, a potem ugięcie materaca. Zadziwiający, ale poznała ten głos natychmiast. Rozpoznałaby go wszędzie, niezależnie od kakofonii otaczających ją dźwięków. Niski pomruk, który rozchodził się rezonansem po całym ciele. Uspokoił ją, ale nie zapisanym w tych okrągłych, głębokich dźwiękach poleceniem, a samą swoją obecnością, samym dźwiękiem.

Co, do cholery?

Zmarszczyła brwi. To też zabolęło. Jej twarz musiała przypominać mielonkę.

- Kim...? - wydusiła przepięknie zdartym głosem.

Zgrzyt piły na metalowej beczcze brzmiał bardziej uroczo od niej w tym momencie. Czuła się tak niesamowicie ponętna, że na samą myśl miała ochotę zwymiotować.

Swoją drogą, dlaczego miała czuć się ponętną? Zmaltretowano ją, prawie zabito (no dobra, sama chciała do tego doprowadzić, ale tylko dlatego, że alternatywa była dużo gorsza), była ranna, brudna i w ogóle. Miała wszelkie prawo wyglądać jak mielonka, mieć niesprawne gardło i wyglądać jak siedem nieszczęść. Nie zamierzała nikogo uwodzić!

- Leo, ranisz moje uczucia - szepnął i zaśmiał się cicho, a ona przez zdradziecką chwilę miała ochotę zacząć się do niego łąsić jak pieprzona kotka w rui.

To zaczynało być bardzo, baaardzo dziiiiwne. I niepokojące.

- Trudno - wydusiła, ledwo powstrzymując cisnące się na język przeprosiny.

Nie miała za co przepraszać. Nie miała za co przepraszać. Nie miała za co przepraszać. Facet pojawił się znikąd i uratował jej skórę, do tego w sposób, który trochę wykraczał poza zasady fair play, a już zdecydowanie łamał klasyczny rycerski etos nakazujący niesienie ratunku każdej *damsel in distress*<sup>[2]</sup>. Rycerz by po prostu wpadł i pomógł, cholera! Lea nie zamierzała dać się przekonać, że to był jedyny sposób. W sumie, jak teraz całkiem trzeźwo o tym myślała, to gdyby wyrznął wszystkich tych półidiotów, nikt by się o niczym nie dowiedział. Ona sama nie puściłaby pary z ust. Nie-e.

Tak, to wszystko jego wina. Właściwie należało mu się skopanie dupska, a nie przeprosiny czy podziękowania. Właśnie, właśnie.

- Znasz mnie. Otwórz oczy.

To nie było polecenie. To nie było polecenie! Nie było! Dlaczego więc, do kurwy nędzy, jej odporne powieki, takie zbuntowane, właśnie teraz zdecydowały się łaskawie podnieść i pokazać, co przed nią chowały? Zaczynała ją to wszystko coraz bardziej irytować.

Światu, który zobaczyła, brakowało ostrości. Przypominał bardziej niebiesko-czarną rozmazaną plamę niż cokolwiek konkretnego. Musiała parę razy zamrunąć, aby uzyskać wyrazistość widzenia. Jej umysł powoli ogarniał sytuację. Duże łóżko, na którym leżała, było okryte białym baldachimem. Ramę wykonano z ciemnego drewna, gdzieniegdzie ozdabiając rzeźbą winorośli, całość polakierowano na nie-błysk, co od razu uznała za oznakę dobrego gustu właściciela. Zauważyła tylko kawałek ściany, jasnoniebieskiej, z dużym oknem, teraz prawie całkowicie zasłoniętym ciemnosrebrną roletą. I właśnie ta roleta sprawiała, że nie oślepla, kiedy tylko jej powieki posłuchały polecenia Ktosia. Dopiero po chwili przyjęła do wiadomości, że patrzy na nią całkiem znajoma para niezwykle ciemnych przenikliwych tęczówek. Całkiem znajomo przerażających tęczówek. A ich właściciel się do niej uśmiechał, ciepło i serdecznie. I ten fakt przeraził ją jeszcze bardziej.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że blednie. Błyskawicznie.

- Otworzyłaś którąś ranę, Leo? Strasznie zbladłaś. - Ściągnął brwi, wyraźnie przejęty. - Pokaż.

Sięgnął po kołdrę, chciał ją odrzucić. A ona była... na bogów! Złapała jego dłoń za nadgarstek tak szybko, że nawet ból nie zdążył się zorientować, że się poruszyła. Oczywiście, to, że się nie zorientował, nie oznaczało, że nie zauważył w ogóle. Oj, oj, oj. Ale nie pozwoli Mu się oglądać w takim stanie!

- Leo?

To dlatego znał jej imię. Zapomniała o nim, nie chciała nawet myśleć o Drugim Przyjacielu Danieli. Poza tym jednym razem w kawiarence, jego wzrok nie koncentrował się na niej. A na pewno nie tak jak teraz.

Wyraźne kości policzkowe, wąskie blade usta, oczy w kształcie migdałów, okolone nieziemsko gęstymi długimi rzęsami. Twarz, która, gdy się uśmiechał, sprawiała wrażenie młodzieńczej, ciepłej. Twarz, która przybrana w chłód i zubożenie mroziła krew w żyłach. Słyszała opowieści o nim w Obozie, słyszała, jaki potrafił być okrutny.

Na bogów.

- Szymon - wydusiła cicho, kiedy pamięć w końcu podsunęła jej właściwe imię.

- Witaj, koteczku - zamruczał cicho, a ona wbrew sobie poczuła się bardzo szczęśliwą istotą. - Muszę sprawdzić, czy nie krwawisz.

- Nie krwawię. Chyba.

Z każdym wypowiedzianym słowem jej głos zyskiwał coraz lepszą barwę. Piła chyba się stępiła, a beczkę zastąpiło coś bardziej

instrumentopodobnego. Atak paniki minął, kiedy do niej zamruczał. Ciach i go nie ma. I znowu zaczęła się martwić, że wygląda jak obita mielonka. A także bardzo, bardzo, bardzo przeszkadzał jej fakt, że pod tą milusią kołderką była całkiem nagusia. Iiiiik!

Właściciel najbardziej niebezpiecznych oczu, jakie widziała, westchnął teatralnie, uniósł wzrok na baldachim i znowu się uśmiechnął. Jeśli jeszcze parę razy pośle jej takie pełne uczucia spojrzenie, to padnie trupem, albo ze szczęścia, albo ze strachu. Umysł Lei nie potrafił podjąć decyzji, czy powinien się bać, czy być zadowolonym. Jakoś nie mogła mieć do niego pretensji za ten dylemat, każdy by się pogubił.

- Jak myślisz, kto cię rozebrał, umył i wstępnie połatał? - zapytał, ponownie zwracając ku niej twarz. Przystojną twarz. - Widzisz tu kogoś poza mną?

Tego nie przewidziała. Nieprzytomną, pokrytą posoką, strzępami łańców, z krwią wyciekającą ze zdecydowanie nieprzewidzianych do tego miejsc, on... Była nieprzytomna. Nieprzytomna! Nie liczy się. Musiała wymyślić cokolwiek, aby nie zabrał jej kołdry... Wpadła na genialny pomysł.

- Gdzie jestem?

Właściwie powinna o to zapytać na początku.

- W moim domu. Po tym, jak zająłem się tymi skurwysynami, musiałem cię poskładać. Las nie był zbyt dobrym miejscem, aby zacząć cię leczyć.

Leczyć?! Czy pobicie uszkodziło jej mózg, że wciąż odzywało się w nim to pieprzone echo? Lea miała mętne pojęcie o Znakach, jakie nosili Rządzący. Ba, miała mętne pojęcie, czy ich Znaki czymkolwiek się różniły od tych, które miała jej kasta. Może oni potrafili leczyć rany, podczas gdy cała reszta musiała sięgać po paskudne miksturki do picia czy cuchnące maści do smarowania ran? Na samo wspomnienie Lea poczuła na języku ohydny, cierpko-gorzki smak tego tałatajstwa. Tak, w swoim czasie się tym obrzydlistwem opijała, byle zostać w miarę w jednym kawałku i móc dalej uczestniczyć w Edukacji. Bo albo wychodziła z sypialni sama, albo z czyjąś pomocą. A to nigdy nie było dobrą opcją.

Tylko śmierć usprawiedliwiała nieobecność na ćwiczeniach! Tak jest! Tylko najsilniejsi przetrwają! Reszta nigdy nie wróci do domu!

Zgrzytnęła zębami ze złości. Otworzyła usta, aby zadać kolejne supermądre pytanie, ale on położył jej palec na ustach, uciszając wszelkie słowa. Ta władza, jaką nad nią sprawował, zdecydowanie wymagała zbadania i zniszczenia. Należała do siebie, tylko do siebie. Nawet jeśli ją do siebie Przywiązał.

- Szszsz. - Szymon pogłaskał ją po włosach. - Oszczędzaj siły. Nie patrz tak na mnie, nie zrobiłem ci krzywdy. Przeciwnie. Przyjęłaś moją propozycję, Leo. Pozwoliłaś mi na powiązanie naszych losów, sama, z własnej woli. Może w mało sprzyjających okolicznościach, ale to zrobiłaś. Wiedziałaś, jak niewiele już dzieliło cię od śmierci, tam, przy tym drzewie. - Ściągnęła usta, zniesmaczona. - Na razie musisz wyzdrowieć, o reszcie porozmawiamy później. Muszę dotknąć twojej skóry, aby przekonać ją, by szybciej się

regenerowała...

Złapał kołdrę i tym razem nawet ją trochę uniósł.

- Mowy nie ma! - zaprotestowała, przełamując jakąś barierę, którą założył na jej usta. - Kołdra zostaje.

Szymon westchnął ciężko.

A tak! Nie poddam się łatwo! Nie pozwolę zrobić z siebie skretyniałej laleczki! Mowy nie ma!

---

[1] *Stupid* - tu: idiotka!

[2] *Damsel in distress* - dama w opałach.



## 9.

BIORĄC POD UWAGĘ PRZESZŁOŚĆ LEI I SPOSÓB, W JAKI TRAFIŁA DO KRAINY CZARÓW, spacer tuż nad ranem nie należał do najmądrzejszych pomysłów. Zdecydowanie. Ale! Musiała się przewietrzyć, powdychać nisko stężone świeże spalinki. Praca nad redakcją co bardziej wymagających tekstów zamieniała jej mózg w groźący wybuchem główny reaktor elektrowni jądrowej. A nie miała na podporządkowaniu sztabu skłonnych do poświęceń specjalistów, którzy zajęliby się jego chłodzeniem. Radzić musiała sobie sama. Nawet w obliczu zagrożenia eksplozją.

Choć za ten stan był odpowiedzialny nie tylko tekst o innowacyjnych metodach badań nad leczeniem wirusa zapalenia wątroby typu C... a może B? Coś w ten deseń. Wyszła z domu zaraz po rozmowie telefonicznej. Z Londynu dzwoniło jej prywatne tsunami, żeby powiadomić, iż w końcu wszystko załatwił i wraca. Jej emocje, jak zawsze podczas takich niełatwych rozmów, gdy nie było go tuż obok, wykonywały salto godne olimpijskiego złota. Gdyby nie dzieląca ich połowa Europy, odczułby to aż nadto wyraźnie. Zresztą Lea nie miała pewności, czy nawet teraz, przy takim dystansie, nie doszło go echo. Czasem otwarta więź empatyczna pomiędzy nimi przyprawiała ją o ogromną ilość wstydu i zażenowania. W końcu zaliczała się do tych dobrze wychowanych i zsocjalizowanych dziewczynek. Poniekąd. Napady nieopanowanego pożądania zdecydowanie nie przystawały do ułożonych, młodych dam. Tak, po tych trzech latach nadal się wstydziła.

Zwiesiła głowę. Była beznadziejna pod tym względem. Po tym, jak obudziła się otoczona jego ciałem po raz pierwszy, wiedziała, że tych wszystkich uczuć nie wzbudziło mistyczne, magiczne, legendarne i zniechęczone Przywiązanie. Te dziwne, nieokiełznane, zwierzęce emocje istniały w niej, od kiedy tylko po raz pierwszy na niego spojrzała, a rozkwitły tamtego dnia w kawiarence. Tak, bała się go. Ale nie tamtej nierealności czy utraty ostrych rysów, nie tych ciemnych oczu. Bała się tego, co mógł z nią zrobić, gdyby tylko chciał. Nie nosiła jeszcze Znaków, ale już wtedy miała jakąś bliską drapieżnikom zdolność wyczuwania zagrożenia. A Szymon zagrażał jej niezależności i stałości. Jeremiasz był bezpieczniejszym wyborem. O tyle bezpieczniejszym, że nigdy nie mógł należeć do niej, i to akurat wiedziała od samego początku.

Lata emocjonalnego odgradzania się od bliskich związków z innymi wydały owoce. Odcyfrowywanie szesnastu tysięcy warstw odczuć nie szło jej za dobrze. Prychnęła pod nosem.

Nie, ja się nie nadaję do życia w stadzie.

Drogę powrotną wybrała tak, aby przejść przez pobliski parczek.

Niewielka namiastka zieleni, drobna przyjemność, na którą nie pozwalała sobie zbyt często. Czas, czas, czas. Ciągle go jej brakowało, choć z całych sił starała się wieść normalne życie. Zwykle Przywiązany stawał się zabawką swojego pana, częścią jego wyposażenia. To w gestii pana leżało zapewnienie swojemu zwierzaczkowi miejsca do spania, jedzenia i łachów na grzbiet. Sam pomyślał, że mogłaby zostać marionetką, bezmyślnym popychadłem w łapach kogoś, kto widziałby w niej tylko użyteczne narzędzie, przyprawiło Leę o wymioty. Zgodnie z założeniami Zgromadzeń tak miało to wszystko wyglądać.

Zatrzymała się na środku ścieżki, wciągnęła powietrze w płuca, przeciągnęła się. Strzeliło jej w stawach. Zbyt dużo czasu minęło, od kiedy ostatni raz biegała po lasach. Wzięła kolejny głęboki wdech i wtedy przekonała się, że spacer był wybitnie złym pomysłem. Trzy osoby znalazły się podejrzanie blisko. Rozgrzała ramiona, przyjęła swobodniejszą pozę, po czym leniwym, niedbałym krokiem ruszyła w dalszą drogę do domu. Kątem oka zauważyła ruch w miejscach, gdzie nic nie powinno się poruszać. Biorąc pod uwagę lokalizację mieszkania, jego niski profil atrakcyjności dla mieszkańców Krainy Czarów, musieli z góry wiedzieć, gdzie szukać. Przy odrobinie szczęścia ich zadaniem było tylko ją obserwować. Ale ona nie miewała aż tyle szczęścia, jeśli chodziło o cokolwiek związanego z tym drugim życiem, które rzekomo było pierwszym. Kurwa.

W skupisku ludzkich siedlisk, kołtunów zapachów i wrażeń trudno było wykryć tak niewielki ułamek nieprawidłowej prawidłowości. Lasy miały swoje zalety. Oj, miały. Po właściwym szkoleniu, które przeszła dzięki Szymonowi, nauczyła się polegać na zmysłach drapieżnika, a przede wszystkim wbiła sobie do głowy, że korzystanie z ich pomocy jest przywilejem, nie przekleństwem. Cudowne zdolności wynikające ze *Zmiany* na niewiele się jednak zdawały w tak gęsto zaludnionych miejscach.

W ostatniej chwili powstrzymała wściekle sarknięcie. Pogodzenie się ze swoją drugą postacią sprawiło, że w niektórych sytuacjach zachowywała się jak terytorialny drapieżnik. Pragnienie obrony własnego terytorium pojawiało się, gdy tylko dostrzegała niepożądanych gości z Krainy Czarów w „swoim” rewirze. To był instynkt, który Zgromadzenie z całej siły chciało wyplenić, a zarazem instynkt, który wiązał się z samą obecnością Znaków. U tych obdarzonych *Zmianą* osiągał poziom zbliżony do tego, jaki miały zwierzęta, których kształty mogli przybierać.

Jeśli teraz dojdzie do starcia, powinna sobie poradzić na pustej ulicy z trójką napastników. Najprawdopodobniej. Wszystko zależało od tego, kto się na nią zaczął w chaszczach. Już raz przecież banda nisko obdarzonych Spadkobierców prawie zapędziła ją na drugą stronę istnienia. Wtedy uśmiechnęło się do niej szczęście w tym całym burdelu, pojawił się ktoś, kto uratował jej skórę. Tym razem Szymona nie było nawet w kraju.

Wróciła do domu w jednym kawałku. Czyli zwiadowcy. Och, za długo w jej skromnym, mało znaczącym życiu panował spokój. Zdecydowanie. Wszechświat postanowił zrobić z tym haniebnym zaniedbaniem porządek.

Cudnie.

Ściągnęła glany, rzuciła je gdzieś na oślep. Trafiła w skrzynię na buty. To prawie tak, jakby je tam włożyła. Nie żeby cokolwiek jeszcze się w niej zmieściło. Cienką kurtkę też posłała w paszczę wszechwładnego przedpokoj. Później się zajmie tą wiecznie panującą nad jej życiem entropią. Najpierw musiała zadzwonić do Andrieja i opowiedzieć mu, co się działo. Na wszelki wypadek. Miała złe przeczucia - i to one podpowiadały, że ktokolwiek przyczepił jej drugi ogon, wykona kolejny ruch, zanim Lea zdąży się chociaż przelotnie spotkać z Szymonem. Planowała go nawet odebrać z lotniska, kupiła w tym celu odpowiednio duże okulary i jakąś czapkę. W razie czego zawsze mogli powiedzieć, że ją wynajął jako ochronę.

Zmeęła przekleństwo pod nosem. Włączyła się poczta głosowa. Niech to szlag. Andriej pewnie znowu spędzał upojne chwile z Dimą. Uderzyła pięścią w całkiem niewinne (w tej kwestii) biurko. Też by chciała spędzać leniwe wieczory z Szymonem, zamiast uciekać przed nieznanymi napastnikami. Całe tygodnie była pozbawiona jego towarzystwa, a teraz trafia się jej prawdziwa wisienka na śmietance. Aż chciało się żyć dla takich atrakcji.

- A! Tu L. Ktoś mi się doczepił do ogona. Udało mi się dobrykać bezpiecznie do jaskini. Dziś się namierzali. Wraca jutro wieczorem. Pozdrów Dimkę. - Rozłączyła się.

Nic więcej ciekawego nie miała do powiedzenia, przynajmniej nic, co mogłaby swobodnie ubrać w jakieś okołobezsensowne stwierdzenia. Już na samym początku ustalili, żeby nie zostawiać sobie bezpośrednich wiadomości - dzięki temu w sytuacjach krytycznych nie zapomną używać kodu. Czasem czuła się jak szpieg na obcym terenie. Zresztą nie było to nieuzasadnione - Zgromadzenia trzymały ich wszystkich w swojej wielkiej, oblesnej łapie jak totalitarni władcy, nie tolerując najmniejszych odstępstw od wyznaczonej przez siebie normy. A stare Prawa godziły w ich utopijne wizje przyszłości Krainy Czarów.

- Spać - poleciała sama sobie. - Masz trzy godziny. Już!

Swoich rozkazów nawet czasem słuchała.

Wychodziła z domu o różnych porach, starając się nie zachowywać żadnej regularności czy łatwo identyfikowalnego schematu. Tak, miała paranoję, i to sporą. Zdawała sobie z tego sprawę. Matka z Ojcem też to zauważyli, między innymi dlatego ustalili, że powinna zamieszkać sama. Będzie jej łatwiej zapewnić bezpieczeństwo swojej sierściastej skórze. Rozumieli, że trudno przychodziło zachowanie zdrowego rozsądku, gdy trzeba było wciąż pilnować swoich tyłów. A ona przecież była zmuszona uważać, czy aby jakiś debil nie postanowił, że ma ochotę na zabawę ze *Zmianą*, i nie zaplanował ataku. Fakt, że już była z kimś w związku, musiał pozostać tajemnicą z najróżniejszych powodów, z czego większość wiązała się z działalnością i pozycją Szymona. I przez Danielę. O tak, przez nią też. Dzięki bliskiej znajomości jej cudownej kuzynki z czarnookim Wybawcą Lea wiedziała, że

Złote Dziecko poszukuje dla siebie Rządzonej ze *Zmianą*. Najnowszy kaprys Cudownego Objawienia – zwierczek. Jej słowa. Z jakichś niezrozumiałych dla Lei powodów, choć oficjalnie nosiła jedynie trzy Znaki, przez wszystkich była postrzegana jako niesamowicie atrakcyjna broń do zdobycia. Atrakcyjna i groźna, choć trudna w utrzymaniu, bo nadal była kotem, ale przecież warto się trochę pomęczyć dla prestiżu.

Prestiż, prestiż, prestiż. Wydawało się, że Daniela nie jest w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o umocnieniu swojej pozycji, zdobyciu odpowiedniej siły i mocy, by móc się wspiąć jeszcze wyżej. Więcej i więcej. Ciągle musiała mieć wyższy status w Krainie Czarów niż dzień wcześniej, ciągle lepsza od siebie samej sprzed chwili.

Potrząsnęła głową. Musiała się skupić. Zwłaszcza że ktoś jej się uważnie przyglądał. Intensywność tego spojrzenia była prawie fizycznie namacalna, zogniskowana mniej więcej w okolicach karku. Ożeż. Przygotowywali się do ataku. Zdążyła przejść jeszcze tylko parę kroków, gdy nogi podcięło jej jedno precyzyjne uderzenie magicznego bicza. Upadła miękko na dłonie, przetoczyła się i wstała siłą rozpędu. Otoczyło ją pięciu Rządzonych, każdy z nich nosił w widocznych miejscach Znak *Siły* i *Szybkości*. Lea mimowolnie skrzywiła się ze współczuciem. Posiadanie czarnych krwawiących symboli na czole czy na policzku musiało bardzo utrudniać im życie, zanim symbole się wygoiły.

Zaatakowali ją na środku ulicy, co mogło znaczyć tylko jedno – ktokolwiek ich nasłał, zajmował dostatecznie wysoką pozycję, by uszło mu to na sucho. Nie chciała popełnić błędu i od razu założyć, że za wszystkim stało Cudowne Dziecko, ale to była niezwykle kusząca konkluzja.

Atak był dobrze zaplanowany, aczkolwiek nie dość dobrze, by udało im się zapobiec *Zmianie*. Lea błyskawicznie wydostała się ze strzępów ubrań i od razu doskoczyła do napastnika po swojej lewej stronie. Nigdy nie atakuj tego, kto stoi naprzeciw, on się tego będzie spodziewał. Tygrys sumatrzański nie był największym spośród pręgowanych drapieżników, ale dostatecznie wielki, by samym impetem i ciężarem rozbić napastnikowi łeb o twardą powierzchnię chodnika.

Jednak miasta też miały swoje zalety.

Obróciła się, ryjąc w miękkim cieple pazurami, tym samym upewniając się, że przeciwnik już nie wstanie, nawet gdyby miał *Regenerację* (rzadki Znak, ale lepiej być pewną). Jednym susem dopadła kolejnego. Zanim chociaż dotknęli ziemi, zanurzyła kły w jego gardle i barkach, szarpnęła, odrywając duży kawał ciała. Gorzki, metaliczny smak krwi wypełnił koci pysk. Zamruczała zadowolona. Smak udanego polowania zawsze wzniewał w jej zwierzęcej części umysłu pieśń zwycięstwa. Od dwóch lat nie negowała tego śpiewu, nie negowała tej radości, jaką ze sobą niosła. Cieszyła się nią, mruzczała w jej takt, atakowała w jej rytm.

Pięciu, nie pięciu – daleko nie zajdą. Zasługiwali na śmierć. Nikt jej kociej osoby nie będzie atakował na jej własnym terenie! Nikt! Złożyła się do skoku na kolejnego napastnika, kiedy poczuła dziwne ukłucie w okolicach

uda. Odwróciła łeb, szybko obnażając zęby w najbardziej rozpoznawalnym grymasie wśród wszystkich ssaków.

Z nogi wystawała strzałka z kolorowymi piórkami. Wrzasnęła przeraźliwie. Co za pieprzony świat! Uspili ją! Czyżby Zgromadzenie nie miało już za grosz honoru?! Świat zaczął ciemnieć w zastraszającym tempie.

Och, jeszcze was, kurwa, za to dorwę.

## 10.

W OBOZIE KULTYWOWANO PEWNĄ NIECHLUBNĄ TRADYCJĘ, podobno nie była wpisana w oficjalny program nauczania, ale tego raczej nikt nie mógł potwierdzić, bo nikt nigdy programu nauczania nie widział. Wychowankowie podejrzewali, że Wychowawcom zostawiono wolną rękę, byle tylko odpowiednio zindoktrynowali powierzone im dzieciaki, wyuczyli korzystania ze Znaków i wyćwiczyli we wszelkich sztukach walki wręcz oraz w różnych stylach fechtunku. Co czynili z wielką werwą i okrucieństwem, zapewne zgodnie z wytycznymi Ojców Założycieli, czy kto tam odpowiadał za to piekiełko. Każdy etap Edukacji kończył się jakimś rytuałem, ale ten, który niedługo czekał Leę, był szczególny. I niezwykle okrutny. Zgodnie z szeptaną legendą niedługo powinna na własnej skórze się przekonać, czym w istocie był.

W czasie treningu walki mieczem Wychowawca Hendrik wezwał sześć osób, w tym Leę, do swojego baraku (baraku, nie szopy, kadrze przysługiwał wyższy standard zakwaterowania). Wysoki, barczysty, emanujący fizyczną siłą mężczyzna należał do grupy, którą obozowicze zwykli nazywać Ciałem Pedagogicznym z braku lepszego określenia. Z pochodzenia Duńczyk, wychowany gdzieś pomiędzy Norwegią a Szwecją, Rządzący o trzech Znakach, mistrz. Był jednym z tych „pedagogów”, których zajęcia sprawiały, że większość Spadkobierców pragnęła natychmiastowej śmierci. Przetrawianie, poruszanie się w lesie, w górach, w wodzie, na terenie wroga – to właśnie Hendrik był koordynatorem wszystkich tych zajęć i to on sprawiał, że treningi wyglądały tak, a nie inaczej. Krótko rzecz ujmując, bycie wezwanym na dywanik przez tego sadystę to zdecydowanie zły znak. *Oh boy, oh boy, they are going to suffer*<sup>[1]</sup>.

Usiedli na podłodze, na specjalnej, wyjątkowo niewygodnej trzcinowej macie. Lea wyczuwała w powietrzu niepokój, jak lepką, duszącą maź przepływającą przez pomieszczenie. Gdyby tylko chciała, zapewne byłaby w stanie ją upolować. Wychowawcy wzywali ich rzadko, w wyjątkowych chwilach, zwykle nieprzyjemnych (ktoś złamał Zasady albo odpyskował), kończących się jakąś wymyślną karą. Bali się, oczywiście, że się bali. Każdy, kto zachował jeszcze resztki zdrowego rozsądku, bałby się na ich miejscu. Siedzieli zdenerwowani na podłodze, a Wychowawca zamiast w fotelu rozsiadł się na biurku, żeby jeszcze bardziej nad nimi górować. Takie zaaranżowanie przestrzeni nie wyglądało na przypadkowe, realizowało jakiś cel. To wzbudzało w Wychowankach podejrzliwość. Razem z nią w Obozie przebywały jeszcze cztery osoby ze znakiem *Zmiany*, w tym siedzący niedaleko Adam, którego formą bojową był duży wilk. Tak jawne

zarysowanie hierarchii mogło zostać przeprowadzone specjalnie dla ich dwójki, co byłoby bez sensu, ale z drugiej strony Wychowawcy często zachowywali się bezmyślnie. Mieli własne przekonania na temat podlegających im dzieciaków, rzadko kiedy wysilali się, aby sprawdzić, czy są prawdziwe. *Zmiana* pozwalała na zmianę kształtu, ale nie sprawiała, że noszący te Znaki stawali się w połowie bądź całości zwierzęcy, nie czyniła ich zwierzołakami, na wszystkich bogów! To nie ta bajka, do cholery!

- Słuchajcie uważnie - odezwał się Wychowawca po odpowiednio długiej, dramatycznej ciszy. - Każde z was w tym roku przechodzi z dzieciństwa do dorosłości, przynajmniej zgodnie z prawem obowiązującym w kraju waszego pochodzenia. Dla większości oznacza to, że kończycie osiemnaście lat, dla paru szesnaście, dla jednego z was dwadzieścia jeden. W Obozach panuje tradycja, zgodnie z którą to przejście zostaje uhonorowane. To szczególny rytuał dotyczący każdego ze Spadkobierców. Sposób przejścia określi tak naprawdę waszą wartość na rynku. Oczywiście, łatwiej przejdą ją ci, którzy trafili do nas w odpowiednim czasie. - W tym miejscu Hendrik spojrzał znacząco na Leę. - Wyznaczyliśmy już datę. Za cztery dni czeka was Próba Bólu. Jeśli przeżyjecie, zostaniecie uznani za dorosłych. To oznacza, że w kolejnym turnusie na specjalny, ostatni obowiązkowy Obóz Szkoleniowy. Dzień przed Próbą macie wolny, a teraz wracać na zajęcia.

Wstali powoli, przezwyciężając opór własnego strachu i przerażenia. Oczywiście, że słyszeli o Próbie Bólu. Każdy o niej słyszał, ale nikt nie wiedział, jak w istocie wygląda ani jak przebiega, poza tym, co sugerowała sama nazwa. Ci, którzy ją przeszli zadowalająco, uwalniali się ze szponów upokarzającej Edukacji. Wystarczyło jeszcze tylko odbyć czteromiesięczny ostatni Obóz dla dorosłych Rządzonych i było się wolnym od wszelkich niebezpieczeństw związanych z Wychowawcami. Spadkobierca, wychodząc z bramy ostatniego spędu niewolników, wkraczał w Krainę Czarów pełną nieznanymi zagrożeniami. Lea wiedziała, że w dniu, w którym zamknie za sobą ten rozdział, rozpocznie kolejny, polegający na nieustannej ucieczce przed tymi, którzy będą chcieli zmusić ją do Przywiązania.

Wściekłość zawsze budziła się w niej raptownie i bez żadnego ostrzeżenia ogarniała całą jej osobę. A już rekordy biła, gdy chodziło o sprawę przejścia nad nią kontroli. Nie pozwoli. Nikomu. Zamienić się. W przedmiot. Nigdy! Nie była pieprzoną zabawką, którą ktoś mógł po prostu sobie wziąć i zrobić z nią, co zechce. Miała swoją wolę, swoje zdanie i swoje własne myśli. Nie da się zredukować do cienia własnej osoby, do jakiejś bezwolnej marionetki!

Wyszła z baraku mniej więcej pośrodku szeregu - już podczas pierwszych dwóch tygodni pobytu w Obozie nauczyła się, że dobrze mieć kogoś przed i za sobą. Bezpieczniej, dużo bezpieczniej. Nie mogła oberwać ani w plecy, ani w twarz, a Wychowawcy uwielbiali przerabiać podopiecznych na krwawiące przykłady. Przykłady czegokolwiek. Lanie dostawali wszyscy, ale lepiej było dostać je raz niż parokrotnie. Lea musiała

szybko wypracować w sobie odpowiednie nawyki, które pozwalały zmniejszyć prawdopodobieństwo dostania nadprogramowych razów.

Wrócili grupą na plac, podnieśli pozostawioną na stojakach broń, której władanie mieli dzisiaj opanować. Jeden dzień, jedna broń – taką zasadę nauczania przyjął Wychowawca Michał, odpowiedzialny za nauczanie starszej wiekowo grupy (niekoniecznie lepiej do tego przygotowanej) posługiwania się każdym znajdującym się w zasięgu rąk przedmiotem będącym lub mogącym być bronią. Dzisiaj w menu były rapiery. Lei się nie podobały. Zresztą nie jej jedynej, o czym najlepiej świadczyły wypieki wściekłości na twarzy prowadzącego zajęcia ryżego pół-Irlandczyka i jego ciągle wrzaski na ćwiczących.

Nienawidzili Michała równie mocno jak pozostałych Wychowawców. Każde niepowodzenie sprawiało tym skurwysynom niewymowną radość. Sfrustrowani odpornością na wiedzę podopiecznych wyżywali się na nich nie raz, bo przecież to zidiociała gówniarzeria była winna wszelkim niepowodzeniom, a nie oni czy ich dydaktyczne braki. Kadra była perfekcyjna w tym, co robiła. Doskonale dobrana i przygotowana do pełnienia zaszczytnych funkcji. O tak. Najgorsze, że te zajęcia były po prostu nieprzydatne. Adam miał problemy, Lea miała problemy, właściwie każdy, kto potrafił zamienić palce w łapy uzbrojone w ostre pazury, miał problemy! Patrzyli na broń białą jak na dziecięce zabawki.

Kolejną rzeczą, którą Lea szybko sobie przyswoiła w ciągu pierwszych tygodni spędzonych na Obozach, była podzielność uwagi, a przynajmniej umiejętność jednoczesnego wykonywania ćwiczeń i rozmyślenia o różnych rzeczach. Jak choćby o sposobach na zadanie Wychowawcom długiej, bolesnej śmierci, a że lubiła wyobrażać to sobie ze szczegółami, osiągnęła całkiem zadowalające wyniki. Ale może taki też był ich cel.

Nadchodzące cztery dni będą torturą, i o to zapewne chodziło. Niepewność i niewiedza jako narzędzia wychowawcze. Dlatego o Próbie Bólu wiedzano tylko tyle, że bolała. Taki ból przez duże „b”. W tej cholernej Krainie Czarów wszystko było teatrem, odpowiednio wyreżyserowanym, aby osiągnąć właściwe wrażenie. Przede wszystkim, by wzbudzić strach i przerażenie w Spadkobiercach oddanych na naukę. Wytresowanie, uwarunkowanie czy jakkolwiek to nazywali. Moment podania informacji o tym, kiedy odbędzie się Próba, dokładnie zaplanowano, optymalny czas oczekiwania potwierdzono we wcześniejszych pseudoeksperymentach. Nie za wcześnie, nie za późno. Idealnie wyważony czas, aby przerażenie osiągnęło apogeum, czyniąc rytuał odpowiednio traumatycznym. Mieli cierpieć, a najlepiej, by część tego rytuału nie przeszła... Czy w ogóle można go było nie przejść? Co się działo z takimi Wychowankami?...

To będą długie cztery dni.

Siedemdziesiąt dwie godziny, podczas których musieli uczyć się na kolejne zajęcia, okazały się prawdziwym testem woli i koncentracji. Każda minuta kosztowała Leę coraz to więcej, coraz trudniej przychodziło wypełnianie



poleceń, realizowanie kolejnych zadań. Cała wyznaczona szóstka zaczęła popełniać głupie błędy – potknięcie się o własne nogi, odsłonięcie tułowia przy walce, nadzianie się na pięść przeciwnika. Lea zauważyła, że nie byli za to karani zgodnie z normalnym „cennikiem”. Wszyscy Wychowawcy wiedzieli, co ich czeka, i najwyraźniej czerpali z ich mąk niezdrową przyjemność.

*Nothing new*<sup>[2]</sup>.

Zgodnie z zapowiedzią ostatni dzień przed Próbą był wolny, pozostawiony całkowicie do ich dyspozycji, mogli zrobić ze sobą wszystko, na co mieli ochotę. Co wybrała Lea, no co? Och, oczywiście, bieganie po lesie na czterech łapach. Tego lata Obóz zorganizowano w południowej Francji, na terenie należącym do jednego z bardziej wpływowych Rodów, które w porozumieniu z władzami państwowymi popierały Zgromadzenia. Chyba. W sumie nigdy nie poznała dokładnie zasad, na jakich ten cały bajzel funkcjonował. Wiedziała tylko, że miejsc służących do wychowywania nowych pokoleń broni idealnej użyczali wpływowi Rządzący. Tak czy inaczej, tym razem były to śliczne tereny z bujną roślinnością, dostatecznie gęstą, by mogły się w niej ukryć duże drapieżniki. Obszar był też na tyle rozległy, aby zwierzęta mogły swobodnie biegać. Nie wspominając o reszcie dzieciaków trenujących sztukę przetrwania. Ale dzisiaj ta reszta jej nie obchodziła, dzisiaj skupiła się tylko na sobie.

Rozebrała się na skraju lasu, zwinęła ubranie w kłębek i schowała pod ściółką. Klasyczna taktyka na wrogim terenie. Gdyby tropił ją ktokolwiek obdarzony możliwością *Zmiany*, musiałaby spalić ubranie, żeby nikt jej nie mógł wytropić. Albo je zjeść, ale chyba szybciej by się porzygała, niż zeżarła te brudne łachy. Wystarczy, że musiała je nosić na własnym ciele. Obrzydlistwo, ale zgodnie z zasadami nowy zestaw ciuszków przysługiwał jej dopiero w przyszłym tygodniu. Chyba że porwałyby się w trakcie ćwiczeń (syf nie kwalifikował się jako odpowiedni powód do wymiany). Na razie to były ćwiczenia, a Lea wolałaby nie paradować później nago. Tak, była nieśmiała. To nie fantastyka, w której zwierzołaki biegają, jak ich bogowie stworzyli, czując się z tym zupełnie naturalnie. Ona nie była zwierzołakiem, lubiła być ubrana. Najlepiej w futro.

Przywołanie mocy *Zmiany* było tak naturalne jak oddychanie. Zmianie kształtu nie towarzyszył żaden ból ani utrata przytomności czy cennych sekund uwagi. W duszy rozbrzmiewała pieśń radości, zmysły zyskiwały na ostrości, świat wypełniał się barwami i dźwiękami, jakich normalnie nie widziała ani nie słyszała. W czasie tych ułamków sekund jej ciało produkowało niesamowite ilości dopaminy. Podobno z zewnątrz wyglądało to jednak makabrycznie – pękająca skóra, wysuwające się kości, zmiana ich kształtu i ustawienia, wypływająca limfa, miejscami krew, skóra pokrywająca się futrem. Tym razem – czarno-szarym. Chciała być niewidoczna, chciała móc przebiegać w cieniach i nie być zauważoną. Znak sprzężony z jej wolą dopasował się do tego, czego potrzebowała, pozwalając

jej stać się czarną panterą.

Niesiona nieopanowaną radością wskoczyła w najbliższe zarośla. Biegła przed siebie, kluczyła, przyczajała się, nasłuchiwała. Od kiedy w tym roku przybyła na Obóz, miała tylko dwie okazje do zrzucenia ludzkiej skóry, obie kontrolowane i monitorowane. Żadnej radości. Wychowawcy chcieli, aby potrafiła poruszać się odpowiednio bezgłośnie po lasach w ludzkim kształcie, żeby była tak samo skuteczna na dwóch nogach, co na czterech łapach. Dlatego poza treningiem, jaki otrzymała na samym początku, nie wolno jej było zmieniać się w kota.

Nadstawiła uszu i wciągnęła powietrze przez nozdrza. Ktoś się skradał, niedaleko. Ludzie, sądząc po mieszance brudu, potu, a także znaczącego strachu, zapewne Obozowicze. Ponownie sprawdziła powietrze. Wyczuwała Wychowawcę Williama. Survival, poziom drugi. Cudownie, akurat wtedy, gdy chciała nacieszyć się tak nagle otrzymaną wolnością. *Just her luck*<sup>[3]</sup>. Bezgłośnie wskoczyła na pobliskie drzewo i ułożyła się wygodnie na dostatecznie dużej i grubej gałęzi. Poczekaj.

Gdyby była człowiekiem, wybuchnęłaby głośnym śmiechem. Wielki Tropiciel William niczego nie spostrzegł, nie wyczuł, że na gałęzi leży wielki, bardzo niebezpieczny drapieжник. *Survival, my ass*<sup>[4]</sup>. To tylko potwierdzało przypuszczenia Lei, że uczyła ich banda źle przygotowanych do tego idiotów, która nadrabiała braki aktami okrucieństwa wymierzonymi w Spadkobierców. Gdyby polowała, gdyby broniła swojego terytorium, zdążyłaby rozszarpać kretyna na strzępy, a potem z wielką przyjemnością zaczęłaby się na resztę jego świty, wyeliminowała jednego po drugim.

*Zmiana* była cenioną umiejętnością właśnie z tego powodu. Większość mieszkańców Krainy Czarów nie miała zdolności ani wiedzy, w jaki sposób pokonać myślącego i planującego drapieżnika. Na terenie Obozu grupa Wychowawców spacyfikowałaby jedną kotowatą, ale na łonie natury – szczerze wątpiła w ich ewentualny sukces.

Sapnęła. Irytujące. Być silniejszym i szybszym, a jednocześnie zupełnie bezbronnym.

Kiedy wieczorem powróciła do szopy i zrzuciła futro, wracając do ludzkiej postaci, poczuła smutek, którego nie przegoniła nawet wyzwana w procesie przejścia pomiędzy formami dopamina. Może jednak książki fantastyczne tak bardzo się nie myliły, może *Zmiana* nie dotyczyła tylko samego kształtu. A może chodziło po prostu o to, że wracała do słabej skorupki, którą o wiele łatwiej można było skrzywdzić. O wiele. Ta myśl wróciła do niej następnego dnia rano, gdy ubrana w świeży obozowy strój czekała wraz z pozostałą piątką wybranych do Próby w jednym z baraków. Czyści, ubrani, pomalowani w jakieś dziwne pseudoplemiennym wzory przywodzili na myśl schwytyanych niewolników oczekujących na targ. Paradoksalnie bezbronych.

Na wszystkich bogów, dlaczego się na to godzili?!

Sekundy zmieniały się w minuty, minuty w godziny, godziny w dni. Jako drapieżnik potrafiła długo i cierpliwie polować, ale to nie było polowanie, to było czekanie na rzeź. Gdyby nie prosta ekonomiczna kalkulacja, z której wynikało, że eliminacja szóstki Spadkobierców, w tym dwójki o rzadkich Znakach, była nieopłacalna, zapewne właśnie wyłaziłaby przez okno i spieprzała. Właściwie powinna to zrobić niezależnie od wszystkiego. Powinna opuścić Krainę Czarów. Na wszystkie świętości, co ją tu jeszcze w ogóle trzymało? Co, no co?!

Usiadła w pozycji przypominającej kwiat lotosu. Nigdy nie widziała joginów siedzących w kwiecie lotosu, więc jedynie zgadywała, że tak właśnie powinno to wyglądać - bardziej zaplątać nóg już nie potrafiła. Wyprostowała kręgosłup, zamknęła oczy, wyrównała oddech. Zamartwianie się do niczego nie doprowadzi, przynajmniej do niczego konstruktywnego. Prawie dwuletnie doświadczenie w Obozach połączone z odpowiednim doбором lektur fantastycznych, sprzężone z czysto kobiecą intuicją, podpowiadało jej, że dzisiaj będzie potrzebowała wszystkich swoich zasobów. Głównie cierpliwości. Czekala w końcu na Próbę Bólu, na swój rytuał przejścia w dorosłość.

Niech ich wszystkich piekło pochłonie!

Wzięła głęboki wdech. Złość nic jej teraz nie da.

Przyszedł po nich sam Wychowawca Hendrik ze swoją zabawką, Simone, Rządzoną o dwóch Znakach. Ubrani nawet odświętnie, co oznaczało, że kompletnie. Dowódca dręczycieli oparł się o framugę baraku, tym swoim bezsensownie wielkim cielskiem, starając się ich zastraszyć. Na Leę to nie działało. Niepokoił ją, to na pewno. Na jakimś poziomie świadomości wyczuwała, że był zagrożeniem, ale jednocześnie jej dość nowo odkryte zdolności i talenty drapieżnika podpowiadały, że Hendrik nie byłby w stanie jej pokonać w pojedynku jeden na jednego. Pomimo swojego lepszego, wojskowego (chyba) przeszkolenia. Babka zarzuciła jej tuż przed wyjazdem na kolejny Obóz, że jest „pyszałkowata” i „butna” i powinna uważać, bo w końcu ktoś jej przytrze tego „zadartego nochala”. Bla, bla, bla, bla. Naprawdę, trudno się przejmować uwagami kogoś, kto powtarzał podobne rzeczy, od kiedy tylko uznał, że berbec, będący najstarszą wnuczką, coś rozumie. Lea przestała słuchać Babki gdzieś w okolicach czternastych urodzin, a po objawieniu Daniela uodporniła się prawie w zupełności.

- Już czas - warknął Hendrik, nadając głosowi jeden ze swoich bardziej zwierzęcych tonów; że też się nie wstydził takiej marnej imitacji przy Adamie. - Przygotowania zostały zakończone, wy też powinniście skończyć. Każdej Próbie towarzyszą świadkowie, zwykle paru młodych utalentowanych Rządzących, w liczbie odpowiadającej waszej. Taki nasz uroczy targ. A teraz wstawać, już. I zachowywać mi się. Możemy sprawić, że tej Próby nie przejdziecie.

Simone zaprowadziła ich na pogrążony w krwistej poświacie sześciu ognisk plac treningowy. Otoczony z trzech stron szopami i barakami,

zazwyczaj otwierał się na las, dzięki czemu część zajęć mogła odbywać się naraz w dwóch różnych warunkach. Dzisiaj jednak ostatni bok zamykała trybuna zgrabnie wkomponowana pomiędzy drzewa. Wyłożone miękkimi poduchami ławy zajmowało sześć osób, w większości ukrytych za muślinową, fioletową tkaniną, która miała najwyraźniej spełniać funkcję kurtyny. Na samym placu, w równiutkiej linii stało sześć dość wysokich pieńków uposażonych w szereg skórzanych kajdan, lin oraz łańcuchów. Na niektórych widniały ciemne, prawie czarne plamy. Lea nie potrzebowała odwoływać się do kocich zmysłów, aby wiedzieć, że to krew. Próba Bólu, do kurwy nędzy. Kolejne wymyślne, nieuszkodzające permanentnie tortury. Niech ich szlag.

Zabawka ustawiła oczekujących na Próbę przy pieńkach, chwilę później naprzeciw nich pojawili się Wychowawcy. Podejrzewała, że zostali dopasowani do Spadkobiercy, który miał przechodzić Próbę, co tłumaczyłoby, dlaczego Adam i Lea dostali największych osiłków. Na wypadek, gdyby zmienili zdanie i postanowili dać susa w las? Wątpiła, czy zdołałby ich powstrzymać ktokolwiek pozbawiony Znaku Siły. Na ich nieszczęście przydzieleni im Michał i Ismael takowe posiadali. Duńczyk ustawił się przed nimi, mniej więcej pośrodku, i skinął władczo głową. Ułamek sekundy później Lea poczuła na szyi łapsko, które popchnęło ją w dół. Zaskoczyli ją, upadła i uderzyła policzkiem o pieńek. Syknęła zła, zanim zdążyła się chociaż zastanowić, co się dzieje.

- Spokój, kiciu - mruknął Ismael. - Zachowaj siły.

Pozwoliła, aby ułożył ją jak szmacianą lalkę, z czego samo to określenie brzmiało lepiej i ładniej, niż w rzeczywistości wyglądało. Rozluźniła wszystkie mięśnie, doprowadzając ciało do bezwładu, co utrudniło Ismaelowi przywiązanie jej do pieńka. Ze wszystkich Wychowawców Lea najbardziej lubiła właśnie jego, może dlatego, że nie miała z nim wiele do czynienia. Ismael zajmował się Spadkobiercami, którzy otrzymali specyficzny Znak *Niewidzialności*, który, jak słyszała, należał do jeszcze rzadszych niż *Zmiana*. Jego występowanie ograniczało się właściwie tylko do trzech Rodów. Którym, co ważniejsze, w jakiś sposób udało się przetrwać. Jak - Lea nie miała pojęcia. Nie żeby ktokolwiek był skłonny odpowiedzieć na pytania, jakie miała ochotę zadać na temat Krainy Czarów.

Ismael zgiął jej nogi w kolanach i przymocował je do pieńka najpierw linami, a potem łańcuchami. Uwadze Lei nie uszły jego starania, aby było w miarę wygodnie. W przeciwieństwie do innych nie wykręcał jej przy tym specjalnie stawów. Ułożył ręce Lei na płaskiej powierzchni pieńka, gdzie zaplątał je w wymyślną sieć kajdan oraz lin. Na końcu łańcuchami unieruchomił tułów. Zanim zostawił ją w spokoju, upewnił się, że wszystko jest mocno pospinane i powiązane. Z takiej plątaniny chyba nikt nie dałby rady się uwolnić. To nie wróżyło niczego dobrego.

- Zachowaj złość na później - szepnęła cicho Ismael, nim się od niej odsunął. - Przyda ci się, kiciu.

Na kolejny sygnał ze strony Hendrika uniesiono muślinową kurtynę. Lea

wciągnęła gwałtownie powietrze w nozdrza. *You've gotta be kidding me*<sup>[5]</sup>. Na wszystkie świętości, dlaczego właśnie oni? Szarpnęła się wściekle, tym samym nieprzyjemnie przekonując się, jak dokładnie została przywiązana do tego cholernego pieńka. Kraina Czarów zdecydowanie nie była miejscem, które postanowiło spełnić marzenia Lei - jeśli do tej pory tego nie zauważyła, to tym razem ta wiedza brutalnie zdzieliła ją obuchem przez łeb. Hej, to ja, Kraina Czarów, postanowiłam się nad tobą poznęcać! Buahahahahaha. Kurwa.

Na trybunie, pośród miękkich, bogato zdobionych błękitno-granatowych poduch siedziała Daniela w otoczeniu Dwóch Przyjaciół. Jej urocza twarz otoczona burzą loków spływających łagodną kaskadą na ramiona olśniewała. Soczystozielony kolor zwiewnej dziewczęcej sukienki kontrastował z poduchami, sprawiając, że Daniela wydawała się wyspą pośród wód jakiegoś oceanu. Mając lat trzynaście, wyglądała jak mały aniołek, z tym słodkim, niewinnym uśmiechem na ustach i krótko ściętymi włosami. Teraz przypominała prawdziwą wróżkę wyjętą spomiędzy kart baśni. Daniela nie miała już trzynastu lat. Na Leę spoglądała twarz młodej kobiety, pozbawiona młodzieńczych krągłości, o znacznie ostrzejszych rysach, których nie łagodziły nawet pełniejsze policzki. Na wąskich ustach Daniela błędził przepełniony pogardą uśmiech, ta sama złośliwość kryła się w jej bursztynowych oczach. Po ukochanej młodszej siostrze nie pozostał nawet ślad. Tak samo jak po Krainie Czarów z jej wyobraźni.

Obok królowej Daniela siedział w równie królewskiej pozie Jeremiasz, ubrany w jedwabną chabrową koszulę i czarne spodnie. Swoje długie aksamitne włosy, obiekt zazdrości wielu kobiet, splótł w luźny warkocz przewiązany tasiemką. Lea nie przypominała sobie, żeby jego usta wyginały się w takim złośliwym grymasie, nie pamiętała również, aby jego egzotyczne oczy miały tak zimny wyraz. Jakby pozostała po nim tylko skorupa z tych wspomnień z kawiarenki, przepełnionych słońcem dni. Razem z Danielą, co prawda, i Leą w roli piątego koła u wozu, ale to podpowiadał rozsądek, nie pamięć.

Po lewicy jaśnie pani zasiadał jej Drugi Przyjaciel. Z kieliszkiem w ręku, w wygodnej pozie, z na wpół przymkniętymi oczyma sprawiał wrażenie znudzonego możnowładcy. Ubrany w czerń i chabry był prawie niewidoczny w panującym na placu półmroku. I jemu w przeciwieństwie do Daniela wcale nie przeszkadzał fakt, że pozostawał elementem kompozycyjnym tła.

Widok na trybunę zasłonił Lei Hendrik, aczkolwiek poznała go tylko dzięki ubraniu, jakie na siebie wcisnął, jej uwagę zbyt mocno przyciągał wielki drewniany młot, który Wychowawca trzymał w ręku. Niepokojąco kreskówkowy młot. Sięgnęła do zdolności drapieźników natychmiast, rozszerzając źrenice i wciągając powietrze w płuca - wyostrzając ludzkie zmysły. To, co spostrzegła, nie napełniało nadzieją. Stara krew, zaschnięta na pieńkach, wydzielała wyraźny smród. Nie podobał jej się ten rytuał, bardzo. To przecież tylko przykrywką dla jakiejś sadystycznej, kurwa,

rzeźni! Kurwa, kurwa, kurwa!

Szarpnęła się w tył, naprężając mięśnie, nie mogła się po prostu dobrze zaprzeć, sama *Siła* to było za mało. Pieprzony świat, przeklęte Obozy. Żadne normalne stworzenie nie pozwoliłoby się zamknąć w takim miejscu, wyczuwając zagrożenie zdrowia i życia. Nie pozwoliłby na to instynkt przetrwania. Ale ona została, oni wszyscy zostali i zgodzili się na cały ten cyrk. A teraz jeszcze to! Chyba stracili rozum, zbiorowo, w tej pieprzonej Krainie Czarów. A może wydzielala jakieś chrzanione opary narkotyczne? Hendrik uniósł złośliwie brew. Lea wydała z siebie syk przepelniony obietnicą przemocy. Gdyby tylko była teraz wolna, rozszarpałaby go na strzępy. I nikt, nikt by jej nie powstrzymał.

- Ciągnęliśmy losy - oświadczył Duńczyk. - Pierwszą osobą podchodzącą do Próby jest Lea.

Nie pojawiły się żadne brawa ani werble. Mężczyzna zamachnął się po prostu, szybko, z wielką wprawą, po czym szerokim łukiem opuścił młot na jej przedramiona. Gruchot kości przeszył ciszę jak grzmot. Nie wrzasnęła, nie zawyla, nie wydała z siebie żadnego błazeńskiego pisku. Nie dlatego, że ją zaskoczył albo że nie zabolalo. Czysta wściekłość zacisnęła jej gardło. Nie da im tej satysfakcji.

- Twoje ręce to twoje łapy - warknął Hendrik. - Dzięki nim polujesz, dzięki nim możesz przetrwać.

- Mam jeszcze kły - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - I dwie nogi. Wystarczą.

Wtedy zrobił coś, czego nigdy by się po nim nie spodziewała - skłonił przed nią głowę. Odstawił młot na ziemię i skłonił głowę! To chyba był jakiś chory sen. Za dużo czasu spędzała z tymi szaleńcami w oparach Krainy, która po prostu nie mogła istnieć! Rozejrzała się dookoła. Pozostali Wychowawcy podążyli za przykładem jej kata. Co to?! Ukryta kamera? Tego już było za wiele! Pieprzony dom wariatów! Lea prychnęła z wściekłością i spróbowała pokazać kły, których w tej skórze nie mogła mieć.

- Spokój, koteczko. - Ismael podszedł powoli bliżej, trzymając dłonie w jej polu widzenia, zwrócone wnętrzem w górę, komunikując, że nie stanowi zagrożenia. Usiadł po turecku obok pieńka, do którego sam przed chwilą ją przykuł. - Lea przeszła Próbę Bólu - oświadczył głośno. - Lea stała się dorosłą w naszych oczach. Ja, Ismael, jestem jej świadkiem.

Mniej więcej w tym momencie zaczęło ją boleć. Pochyliła głowę, a z ust posypały się przekleństwa.

---

[1] *Oh boy, oh boy, they are going to suffer* - tu: o rany, rany, ale będą cierpieć.

[2] *Nothing new* - tu: nic nowego.

[3] *Just her luck* - tu: po prostu jej szczęście.

[4] *Survival, my ass* - tu: przetrwanie, akurat.

[5] *You've gotta be kidding me* - tu: chyba ktoś sobie ze mnie żarty stroi; lub: chyba sobie ze mnie jaja robisz.

## 11.

KAZAŁ JEJ LEŻEĆ. NO, NIE DOKŁADNIE „KAZAŁ”, RACZEJ „DORADZIŁ”, aby nie wstawała z łóżka, bo znowu rozerwie szwy. Pomimo wielu nowych odczuć związanych z osobą Wybawcy najwyraźniej nadal pojawiał się w niej opór, gdy tylko ktoś kazał jej coś zrobić. Słownik Lei nie zawierał słów takich jak „musieć” czy „być posłuszną”. To, że przeżyła Obozy, zakrawało na jakiś cud albo było dowodem wybitnych zdolności aktorskich. Chociaż Szymon, doradzając jej pozostanie w łóżku, użył bardzo poważnego i pełnego cierpliwości tonu, zdecydowała się nie interpretować tego jako rozkazu. Tyle że taki sposób rozumowania otwierał drzwi życzliwości i uczuciom, których Lea nie chciała odczytywać z jego twarzy, głosu czy języka ciała. Z trudem przychodziło jej zaakceptowanie faktu, że ktoś, kto do tej pory ignorował jej istnienie, nagle okazywał tak jawne zainteresowanie i przywiązanie. Opiekę. Był czuły, delikatny, reagował na najmniejszą skargę. To przekraczało zdolności pojmowania Lei. A już szczególnie przekraczał je fakt, iż patrząc na niego, nie czuła przerażenia jak na początku, zamiast tego miała ochotę się... łąsić.

Kiedy w końcu samowolnie zmieniała pozycję na siedzącą, prawie ją za to udusił, a przynajmniej chciał. Oczekiwała, że urządzi jej awanturę, tymczasem po prostu na nią nakrzyczał, głównie z bezsilności. Ta próba przemówienia do rozsądku skończyła się na groźbach połamania reszty kończyn, aby pasowały do kolekcji. Lea wiedziała, że do niczego jej nie zmusi, że w końcu ulegnie życzeniom. Żądaniom. To „wiedzenie” nie należało do żadnych rewelacji, nie było nagłym oświeceniem, swojego źródła nie miało również w doskonałym szkoleniu z zakresu czytania języka ciała czy drobnych zmian w wyrazie twarzy. Ta wiedza po prostu w niej była i już. Gotowa służyć w każdym dogodnym momencie Jej Wysokości Pani Mielonce, Władczyni Poduszkowego Królestwa. Jej Wysokość siedziała teraz na łóżku, całkiem wygodnie oparta o piramidę z poduszek, ubrana w jedną z koszulek swego Wybawcy (na niej zasługiwała na miano sukienki) i obserwowała, jak Pierwszy Rycerz Królestwa ćwiczy. Lea sama ochrzciła się tym uroczym tytułem (i jego też), dwa dni temu, mniej więcej w połowie piętnastominutowego wykładu Szymona, podczas którego z dużą dokładnością wyliczył wszystkie odniesione przez nią rany, pół godziny przed tym, nim po raz pierwszy ją opieprzył. Gdzieś pomiędzy tymi wydarzeniami próbował przekonać jej zbyt upartą osobkę, że powinna pozwolić mu się wyleczyć, że przecież to on ją umył i wstępnie opatrzył, powinna pozwolić mu skończyć rozpoczęte dzieło. Na własne szczęście nie wykorzystał klasycznego argumentu „i tak już wszystko widziałem”, inaczej



chyba od razu wybiłaby mu zęby. Odmawiała konsekwentnie od pięciu dni. Prędzej ulegnie przemianie jak Dafne, niż pozwoli mu się dotykać (znowu) w takim stanie. Trochę dumy jeszcze miała.

Jej Wysokość Mielonka dostawała Zaszczytnej Kurwicy, przykuta do łóżka, zmuszona siedzieć i patrzeć, jak Pierwszy Rycerz Królestwa ćwiczy. Jej Wysokość oszaleje, jeśli w końcu nie wygrzebie się ze swoich haniebnie miękkich pieleszy i nie dołączy do Wybawcy. Jej Wysokość zaczynała również podejrzewać, że już oszalała. O czym dobitnie świadczył tok jej własnych myśli.

Wszystko przysłowiowo aż ją swędziało i była pewna, że to nie wiązało się z procesem zdrowienia. Ból czy nie ból, miała dość siedzenia i leżenia. Ile można? Nawet jeśli zajmował się nią tak przystojny facet i czytał jej bajki. Różne bajki, głównie dość pikantne, które sprawiały, że bardzo żałowała ciągłego odmawiania mu prawa do podotykania jej tu i ówdzie... Bajki, które sprawiały, że tylko resztkami zdrowego rozsądku trzymała się kurczowo pościeli, zamiast się na faceta po prostu rzucić. Wiwat silna wola!

Nie mogła ćwiczyć z dość prozaicznej przyczyny – nie była w stanie dojść do łazienki bez jego pomocy, a co dopiero przejść całe sekwencje tai chi. Bardzo lubiła tai chi. Lubiałaby teraz robić cokolwiek, byle tylko przestało boleć, byle w końcu miała dość sił, aby się ruszyć z łóżka.

Ruszyć, ruszyć, ruuszyyyyy! Teraz! Natychmiast!

Wybawca potknął się o własne nogi, prawie lądując z gracją kłody swoim zacnym nosem w miękkim dywanie sypialni. Rzucił jej wściekłe spojrzenie, na które Lea w odpowiedzi zrobiła niewinną minę. Tym samym przyznając się niejako do winy.

Zapomniała.

Od czasu do czasu, z bliżej niewyjaśnionych przyczyn, potrafiła przesłać w jego kierunku ładunek silnych emocji. Zwykle w nieodpowiednim „od czasu do czasu”. Jak na przykład teraz. Potknął się, bo za mocno wyła w głębi duszy, że chce poćwiczyć. Dzięki jakiemuś cudownemu mechanizmowi usłyszał to. Głośno i wyraźnie.

- Rozpraszasz mnie - warknął.

Więc jednak udało się Lei coś osiągnąć przez te parę dni. Przestał obchodzić się z nią jak z porcelanową lalką. Udało jej się wytrącić go z równowagi, doprowadzić do krzyków i gróźb. Chyba w końcu pojął, że samą dobrocią i czułością niewiele wskóra. Nie żeby na razie wskórał cokolwiek. Niesamowite, jak ten wyrachowany Rządzący z opowieści, literacki psychopata, dawał się wodzić za nos słabemu Obozowemu Dziwadłu. Tak, Lei podobało się jego zainteresowanie, te prowokowane przez nią wybuchy bezsilnej złości. Sprawiało jej radość, że skupiał na niej całą swoją uwagę. Nie przepadała za opanowanymi osobami – ich stoicyzm był podejrzany. Ta nagła sympatia do kogoś, kogo jeszcze niedawno tak strasznie się bała, wciąż dziwiła.

- Nudzę się – sapnęła w odpowiedzi na jego złość, jak dzieciak.

Dla lepszego efektu uderzyła pięściami w kołdrę. Jak podrostek. Sama



też zachowywała się dziwnie... ale to na pewno przez ten ból. Nie znajdowała się przecież na poziomie rozwojowym dwunastolatki. Miała, do cholery, dziewiętnaście lat! Była dorosłą, odpowiedzialną osobą! Co jednak nie zmieniało faktu, że chciała wydać wargi i odwrócić ostentacyjnie głowę. Nienawidziła tej infantylności. Tej... słabości.

- Mogę skończyć Cię leczyć, ale do tego będę musiał Cię dotknąć. - Posłał jej jedno z tych spojrzeń, które nauczyła się już rozpoznawać jako znamionujące szybko zbliżającą się kłótnię.

Miała wrażenie, że zaimki, którymi ją określał, powinny być zapisywane dużą literą, jakby należały się jej typograficzne hołdy. Jej Wysokość Mielonka, lat dwanaście, święta za życia.

Popieprzone to wszystko! Kraina Czarów! Niech mnie ktoś udusi i skróci me męki!

- Nie chcę - westchnęła. - Przez samą twoją obecność czuję się już dość...

- To przejdzie. - Szymon posłał jej współczujący uśmiech, zagrożenie burzą minęło całkowicie. Usiadł obok niej. - Posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze?

Lea skinęła głową, w końcu jakieś odpowiedzi!

- Przywiązanie to dziwaczna rzecz - zaczął. - Nie jest ani zaklęciem, ani rytuałem, ani przysięgą krwi. To, co się teraz między nami dzieje, możesz w pewnym sensie porównać do walki o dominację. Tyle że nie walczymy ze sobą nawzajem, raczej stare status quo zderza się z nowym. To naturalna reakcja na zanik barier pomiędzy osobami wchodzącymi w taki związek. Przywiązanie polega na zburzeniu wszelkich murów między nami. Tobie, Leo, jest trudniej, bo przez długie lata szkoliłaś siebie samą w sztuce odgradzania się od innych, w nauczaniu samej siebie, że inni nie są ci do niczego potrzebni. Może za wyjątkiem rodziców. Teraz, bez tych wszystkich ścian, czujesz się jak dziecko, bezpieczne. Wiesz, że możesz sobie pozwolić na znacznie więcej i nie spotka cię za to najmniejsza kara, żadne odrzucenie. To poniekąd proces ewolucyjny. Poczucie bezpieczeństwa zapewnia Przywiązującemu - wskazał na siebie - że ta druga strona - tutaj wskazał na nią - nie zmieni nagle zdania i nie zabije nas od razu. Dlatego stajemy się bezbronni jak dzieci. Jako dorośli nie osiągnęlibyśmy tego stanu. Dzięki temu mechanizmowi mamy szansę zbudować stabilny związek na bazie tych kilku tygodni, podczas których pozostajemy wobec siebie bezgranicznie otwarci. Jeśli po tym czasie nie będziesz zadowolona z naszego związku, nie będziesz miała większych problemów z rozszarpaniem mnie na strzępy. Widzisz, Leo, jako Przywiązujący nigdy nie będę mógł zrobić ci żadnej krzywdy. Ty mnie - owszem.

Zmarszczyła brwi. Roztoczył przed nią piękny obrazek świata, w którym należały jej się nawet jakieś prawa, między innymi prawo odmowy. Odrzucić go! (Dlaczego miałyby odrzucać Szymona, nie miała pojęcia). Jednak Wychowawcy nauczyli ją czego innego. To na bazie ich świętych nauk powzięła postanowienie, że nigdy nie zegnije przed nikim karku, nigdy się

nie zgodzi, aby ktokolwiek ją zniewolił.

- Kłamiesz - warknęła. - Wychowawcy uczyli nas, że...

- Rządzeni nie stają się jakimiś półgłówkami po Przywiązaniu - warknął, jego złość była uderzająca; chciała jedynie skulić uszy i wczłogać się pod łóżko. - Przepraszam. - Przeczesał dłońmi swoje sięgające ramion czarne włosy, teraz pozostawione w swobodnym nieładzie. - To też się później uspokoi, przestaniemy tak wyraźnie odbierać każdą emocję. Tak silne doznania raczej będą przychodzić jako element składowy systemu ostrzegania czy systemu bezpieczeństwa. Dzięki takiej empatii będziemy wiedzieć, co się dzieje z drugą stroną. Nauczę cię później, jak to blokować, może się przydać. Wracając, to, co ci wpajano, to w większości bujda. Jakies trzydzieści lat temu pośród nas, Rządzących, pojawił się dziwaczny ruch, który dążył do „ucywilizowania” wszystkich. Większość struktur, które teraz funkcjonują w Europie i części Stanów Zjednoczonych, zostały stworzone właśnie przez nich. To ma zapewnić stabilizację, spokój, zmniejszyć straty i tak dalej. Nie będę cię tym teraz zanudzał. Prawdziwe Przywiązanie jest związkiem równości. Jeśli ma funkcjonować zgodnie ze swoim powołaniem, obie strony muszą chcieć w nim pozostawać, nie wspominając, że muszą chcieć go zawiązać.

W lesie krzyczał, żeby się zgodziła. Mówił o Prawach, choć nigdy wcześniej o czymś podobnym nie słyszała. Dlatego po prostu nie wykorzystał okazji, nie złowił jej dla siebie? Na bogów, wszystko, co wiedziała o Krainie Czarów, właśnie zamieniało się w pył, niczym zamek z piasku. Kto miał rację? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że Szymon proponował jej o wiele lepszą Krainę Czarów niż ta, do której trafiła za Danielą.

- Dlatego wtedy, w lesie, chciałeś mojej zgody...

- Tak. Szanuję Prawa, żyję zgodnie z Prawami. Niestety, w tych rejonach nie mogę tego robić otwarcie, Zgromadzenia mają zbyt duże wpływy i zbyt dużą władzę. Propaganda i warunkowanie to bardzo silna broń.

Ale on przyjaźnił się z Danielą. A Lea przecież wiedziała, że Daniela wręcz kąpała się w glorii, jaką zapewniała Edukacja w Obozach. Jej Piątka, jej status Rządzącej, to wszystko dawało jej pozycję, pozwalało bezkarnie pomiatać Rządzonymi. Lea widziała, w jaki sposób Daniela patrzyła na przechodzących Próbę Bólu. Bez problemu przywołała w pamięci kpiący wyraz twarzy kuzynki, jej przekonanie o własnej wyższości, które śliczne, delikatne rysy zamieniało w odrażającą maskę.

- Daniela...? - spytała cicho Lea.

- Nie. Daniela nie przestrzega Praw, nie zna ich i poznać ich nie chce. Może gdyby wasza prababka nie zmarła tak szybko, gdyby babka sama była Rządzącą, może wtedy Prawa zostałyby zachowane w waszym Rodzie. Stało się jednak tak, jak się stało. Daniela kroczy ścieżkami Zgromadzeń i te ścieżki uwielbia. Będzie się niedługo ubiegać o miejsce w Zgromadzeniu kontrolującym wasze miasto. Ma pięć Znaków, zgodnie z oficjalną polityką Zgromadzeń nosi największą możliwą ich ilość. Na dodatek krew obdarzyła ją bardzo niebezpiecznym i wybuchowym zestawem: *Ukrywaniem, Magią,*

*Manipulacją, Sprytem i Drapieżnością.* Jeremiasz zapewnia jej zbrojne ramię, jego Czwórka jest idealna do tego: *Szybkość, Odnajdywanie, Zwinność, Miecz.*

Uniosła dłoń w górę. Potrzebowała chwili na zastanowienie. Jej Edukacja nigdy nie obejmowała wiedzy z zakresu Znaków i tego, co ze sobą niosły. Wychowawcy bardzo niechętnie tłumaczyli to, co Rządzeni Spadkobiercy nosili na ciele. Opowiadali im tyle, ile musieli, aby odpowiednio „ostrzyć przyszłą broń dla światłych Rządzących ze Zgromadzeń”. Lea skrzywiła się na samo wspomnienie.

- Za dużo? - Chłodna dłoń Szymona znalazła się nieoczekiwanie na jej czole. - Dobrze, gorączka nie wróciła. - Dłoń zniknęła, a ona prawie zakwiliła, niezadowolona.

Weź się w garść, kobieto!

Czas się skupić na najprostszych sprawach, inaczej nie miała szans pojąć tych bardziej skomplikowanych. Od podstaw w górę. Po kolei.

- Czy wy nosicie inne Znaki od nas?

- I tak, i nie. Pewne Znaki są charakterystyczne dla Rządzących i Rządzonych. Jednym spośród twoich trzech Znaków jest *Zmiana*, zatem Przywiązać cię tak naprawdę, tak prawdziwie może tylko ktoś, kto posiada Znak *Kontroli*. One są ze sobą związane, uzupełniają się. Zgromadzenie by powiedziało, że każda z grup nosi różne Znaki, a osobnika ze *Zmianą* może Przywiązać każdy, kto tylko go do tego „przekona”. Ich definicja przekonania wiąże się z użyciem środków przymusu, jak pewnie wiesz. - Szymon wygiął wargi zde gustowany. - Bez *Kontroli* można Przywiązać kogoś takiego jak ty, ale to się zwykle bardzo źle kończy dla Przywiązującego. Szybko traci kontrolę nad sobą i poddaje się zwierzęcym instynktom bestii, w którą zmienia się Przywiązany do niego Rządzony. Chociaż sam zmieniający się nie pozostaje pod wpływami owych instynktów. - Wzruszył ramionami.

O. To było ciekawe. *Kontrola* dla zwierzączka, tak? Powinna się zezłościć, ale nie miała siły. Na wszystkie moce, robiła się coraz bardziej zmęczona tą rozmową. Tai chi nadal nie wchodziło w grę. Pomimo wszelkich starań ze strony Szymona wciąż była osłabiona. Przymknęła oczy i oparła się wygodnie o poduszki. Może gdyby się zgodziła na to całe leczenie, szybciej stanęłaby na nogi? Musiała być bardzo, bardzo zmęczona, skoro zaczęła to rozważać.

- Widzisz? Jesteś wciąż za słaba, głupolu. W tym stanie powinnaś jeszcze leżeć co najmniej miesiąc. Na wszystkie moce tego wszechświata, gdybyś tylko pozwoliła mi się wyleczyć...

- To mnie wylecz! Mam dość! - przerwała mu gwałtownie, coraz bardziej zmęczona swoim stanem.

Kiedy otworzyła powieki, zauważyła, że wpatruje się w nią para zaskoczonych, ciemnych jak dno otchłani oczu. Ściągnęła brwi. No przecież sam chciał.

- Jesteś pewna? - Głos Szymona był dziwnie ostrożny.

- Tak, jestem. Mam dość. Noga, bok, ramię, wszystko mnie boli! Ile można?!

Westchnęła cicho, wyczerpana tym wszystkim. Życie było takie cudowne, dopóki Babka nie obwieściła wszystkim, że Daniela ma Znaki. Pięć! Cudownie. Od tej pory życie Lei z każdym dniem coraz bardziej stawało na głowie. Nie, nie była rozżalona, że w tym jej wywróconym życiorysie pojawił się Szymon, wręcz przeciwnie, wydawał się być jedynym światłem w ciemnym tunelu ciągłych walk. Chciała móc się cieszyć, przestać martwić, że została Jej Wysokością Panią Mielonką.

- Dobrze. Muszę przygotować parę rzeczy. To chwilę zajmie. Obiecuj, że się nie wycofasz.

- Nie wycofam. Chcę się móc ruszyć, bez ciągłego bycia zmęczoną...

- Daj mi chwilę.

Sypialnię oświetlały teraz jedynie świece, nic poza nimi nie miało prawa wdrzeć się do pokoju - dlaczego, nie miała pojęcia. Najwyraźniej taki był wymóg tego całego uleczenia, które miał na niej wykonać... jakkolwiek miało ono przebiegać. Dokoła łóżka Szymon poustawiał miseczki z wodą zmieszaną z najróżniejszymi ziołami. Połączone zapachy jaśminu, lawendy, rozmarynu, wanilii, cynamonu i bogowie wiedzieli, czego jeszcze, sprawiły, że wbrew sobie Lea się rozluźniła.

Przy pomocy swojego Rycerza Wybawcy pozbyła się piramidy poduszek i ułożyła wygodnie na materacu, otulona miękką, aksamitną pościelą, która w blasku świec nabrała ciepłego, kojącego koloru. Zapach ziół utworzył mgiełkę, w którą jej świadomość zapadała bez najmniejszego sprzeciwu. Ból płynący z niezagojonych ran wydawał się już tylko dalekim ćmieniem, powoli znikającym za horyzontem. Zamruczała zadowolona.

Odpowiedział jej cichy, niski gardłowy śmiech, na którego dźwięk przeszedł ją nieopanowany dreszcz. Nie miała pojęcia, czy to w ogóle możliwe, ale ten jego śmiech zamienił się w jedwabisty szal, który musnął jej umysł, myśli, wytrącając z tego miłego, lepkiego stanu senności, wzbudzając ciepłe, nieopanowane wrażenia. Wrażenia pozostające w harmonii z wędrującymi po ciele dreszczami. Zagryzła dolną wargę, aby powstrzymać mruknięcie. Odwróciła głowę w kierunku Szymona i ściągnęła brwi. Miał na sobie jakąś dziwnie skrojoną chabrową szatę, przewiazaną szerokim czarnym pasem. Długie, szerokie rękawy zakrywały dłonie. Ściągnęła brwi jeszcze mocniej, zaskoczona.

- Yukata? - spytała cicho, jej głos miał już w sobie tę rozspaną nutę, poczekalby jeszcze trochę, a na pewno by zasnęła.

- Dla wygody. - Uśmiechnął się do niej czule. - Pamiętaj, że obiecałaś się nie wycofać.

- Pamiętam - wyszeptała cicho, walcząc z wywołaną ziołami sennością.

Nie zauważyła, kiedy złapał za kołdrę i odrzucił ją na bok. Chciała zareagować, naprawdę chciała zareagować, najlepiej jakimś odpowiednio zbulwersowanym odgłosem, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiła. Przez

pięć dni walczyła, aby nie mógł jej dotknąć ani oglądać w tym opłakanym stanie, a teraz nagle przestała. Było jej tak dobrze, tak wygodnie. Dzięki ziołom zepchnęła ból gdzieś na skraj percepcji i mogła cieszyć się samą obecnością Szymona. I, na wszystko, co miało moce, chciała się nią cieszyć.

Jej Wybawca. Szymon. Patrzył jej prosto w oczy, skupiony, z czułym uśmiechem wciąż przyklejonym do warg. Nie był zagrożeniem, nawet bez magii zioł doskonale o tym wiedziała. Tutaj, przy nim, była bezpieczna. Ręka Lei sama uniosła się, aby przesunąć palcami po jego ramieniu. Dopiero to odczucie ciepła skóry kogoś, kto roztoczył nad jej zmaltretowaną osobą opiekę, kto reagował na najmniejsze oznaki bólu, dopiero ten krótki, delikatny dotyk uświadomił jej, że do tej pory nie dopuszczała nikogo do tego, aby jej dotykał. Nie mówiąc o tym, że sama unikała jakiegokolwiek kontaktu. Z nim również. Cofnęła dłoń, speszona.

- Już dobrze. Już możesz, Leo.

Uspokajał ją, pieścił cichymi słowami, dźwiękami, które z siebie wydobywał. I wciąż się do niej uśmiechał, jakby znał sekret, do którego ona na razie nie miała dostępu. Z tym tajemniczym półuśmiechem na ustach pozrywał opatrunki z jej odsłoniętych nóg szybkimi szarpnięciami, przemył rany wodą z najbliższej miseczki. Szczypało, ale starała się nie marudzić. To w końcu jej własna głupota spowodowała, że doprowadzili ją do tak opłakanego stanu. Z drugiej strony chciała ich przecież sprowokować, aby zamęczyli ją na śmierć. Nie mogła przewidzieć, że do akcji wkroczy Szymon.

Położył palec na jej biodrze, delikatnie przesunął w dół, rysując na jej skórze ścieżkę dziwnego, relaksującego ciepła. Obrysowywał każdą ranę, sprawiając, że nie mogła zebrać myśli. Zdawał się rozniecać niewielki pożar, rozlewający się po ciele jak fala, budząca uczucia, o jakie się nigdy nie podejrzewała. Ledwo się powstrzymywała przed cichym pojękiwaniem. Pracował nad jej nogą metodycznie, aż w końcu dotarł do dziury w łydce. Dziury, która, jak podejrzewała, chyba nigdy się nie zasklepi - to była w końcu duża halabarda, zostawiła za sobą ogromne zniszczenia. Nachylił się nad wciąż krwawiącą raną, wciągnął w płuca powietrze, jakby szukał nosem oznak zgnilizny. Obrysował i tę krawędź, jednocześnie wydychając powietrze silnym, mocnym strumieniem, wprost w ziejącą w mięśniu dziurę. Krzyknęła zaskoczona.

Ogień, Szymon wydychał z siebie czysty ogień.

- Cii - szepnął tuż nad jej skórą, jego oddech nadal palił. - Wiem. Nie wrywaj się, Leo.

Chyba skinęła głową, a może coś wydusiła w odpowiedzi, nie była do końca pewna, cokolwiek jednak zrobiła, upewniła tym Szymona, że będzie grzeczną dziewczynką. Kiedy ponownie wypuścił powietrze z płuc silnym strumieniem i obrysował ranę, zacisnęła mocno pięści na prześcieradle. Tym razem poprzez ten nieznośny pożar przebiło się jeszcze coś - wrażenie niemilosiernego rozciągania mięśni, naciągania skóry, połączonego z wypełnianiem wolnej, nadprogramowej przestrzeni. Jakby jej organizm próbował szybko powrócić do siebie.

Gdy skończył z największą raną na łydce, zajął się leczeniem mniejszych zadrapań na drugiej nodze. Rozluźniała się pod wpływem ciepła, jakie odczuwała dzięki temu niewielkiemu fizycznemu kontaktowi. Wraz z wonią ziół wciągało ją w jakąś miłą, aksamitną krainę, pełną przyjemnych wrażeń. Dwie dłonie przesunęły się po jej bokach, podsuwając koszulkę pod sam biust. Odchyliła gwałtownie głowę, czując, jak szybko się rumieni.

Opanuj się, kobieto! On cię leczy. Leczy. Nie ma w tym absolutnie nic zdrożnego. Trochę palcem pomaca, zobaczy to i owo w słabym świetle. Nie ma w tym nic złego. Nic a nic. Absolutnie.

Westchnęła, kiedy poczuła jego oddech na brzuchu, w okolicy pępka, rozpalający w niej ogień silnego pożądania. Właśnie dlatego walczyła z jego propozycjami leczenia, dlatego nie chciała, aby jej dotykał. Cholera, musiał to odczuć! Wiedział, co się z nią działo! I zachowaj tu rozsądek, kurwa jego mać!

- Możemy pójść i tą drogą - szepnął cicho, łaskocząc wargami skórę podbrzusza. - Czas leczenia się... znacząco skróci... Jeśli chcesz.

Przesunął ręce wyżej. Zadrzała pod tym dotykiem, czując, jak słabnie jej kontrola nad sobą. Szymon ułożył się między jej nogami, dla wygody w leczeniu (tak, na pewno), zamruczała zadowolona z tak bliskiego kontaktu. Odrzuciła głowę do tyłu z cichym westchnieniem. Znowu ta cudowna, pełna aksamitów kraina opanowała myśli Lei, kiedy strumień chłodnego powietrza przeszył jej już i tak dziurawy bok czystym ogniem. Krzyk po prostu uwiązał jej w gardle. A agonia trwała dalej.

- Już, już koniec - wyszeptał, odgarniając jej z twarzy splątane i spocone włosy. - Spójrz na mnie. - Lea wykonała polecenie, chociaż niewiele mogła dostrzec przez zasłonę łez i własnego nieszczęścia. Tym razem bolało jeszcze bardziej niż przedtem. - Wiem. Wiem, kotku. Już.

- Nieprawda - wychrypiała. - Jeszcze ramię.

- Ramię to pestka przy tym, co miałaś tutaj. - Przesunął palcem po nowej, wrażliwej tkance. - Teraz już będzie łatwiej. Naprawdę.

Czuła się paskudnie. Nie, jako Jej Wysokość Mielonka wcale nie czuła się źle, to było tylko preludium stanu, w jakim znalazła się teraz. Paradoksalnie w Obozach zadawano jej o wiele więcej cierpień, o wiele więcej bólu, o jakim Szymon nie mógł nawet śnić, jednak to ten palący ogień, który w niej wzniecał w tych cudownych, bezpiecznych warunkach, sprawiał, że miała ochotę płakać. Ona, która obiecała sobie, że nigdy nie pokaże nikomu z Krainy Czarów łez bezsilności.

Uśmiechnął się do niej, musnął wargami jej usta, po czym posłał jej pełne współczucia i współodczuwanego bólu spojrzenie. Na wszystkich bogów, przecież nadal odbierał wszystkie jej silniejsze emocje, tę również musiał...

- Skup się przez moment na czymś innym. - Zamknął ją w swoich ramionach, przyciągając mocno do siebie. - Leo, kotku, ile dokładnie nosisz Znaków? Bo wiem, że więcej niż oficjalne Trzy. Już sam fakt, że potrafisz je ukryć, świadczy o tym, że nie jesteś istotą średnich talentów i zdolności.

- Kiedy się pojawiły - westchnęła, starając się rozluźnić w jego objęciach, nie było to proste, głos drżał od wstrzymywanego płaczu - było ich Pięć. Nie wiedziałam, co oznaczają. Matka odkładała obowiązek Wpisu najdłużej, jak tylko mogła. Nie wiem, czy słyszałeś, ale objawiły się w czasie napadu. Rozszarpałam bydlaków na kawałki. Do dzisiaj nie pamiętam w jaki sposób. Facet na Wpisie mi się nie podobał, więc pokazałam mu tylko trzy. *Zmianę, Siłę* oraz *Gibkość*. Generalnie wybrałam te, które mi się bardziej podobały. Schowałam *Zwinność* oraz *Szybkość*.

- To wyjaśnia twoją preferencję dużych kotów. - Zaśmiał się cicho, nisko.

- To nie wszystkie - mruknęła cicho, prawie zawstydzona.

Czekała na jakąś reakcję z jego strony, Szymon jednak milczał. Zgodnie z odebraną przez nią Edukacją, szczytem możliwości ludzkich była Piątka, a i one dostępne były tylko członkom najsilniejszych mistycznie-magicznych Rodów, zwykle pierwszym córkom córek bądź pierwszym synom synów, zależnie od tego, w jaki sposób przechodziły zdolności w danej Rodzinie. Rządzeni, naturalnie, miewali góra Cztery Znaki. Nie potrzebowała tutaj dodatkowych wyjaśnień, aby wiedzieć, że to nie było prawdą. Sama była przykładem.

Obejmujący ją mężczyzna zanurzył nos w jej włosach, dając Lei czas na zabranie myśli. Bardziej konkretnych od „cholera, przecież śmierdzą od potu”.

- Koło osiemnastych urodzin pojawiły się jeszcze cztery, ale ich znaczeń nie znam - wyrzuciła w końcu. - Nie widziałam ich na nikim innym.

- Jesteś Dziewiątką, kochanie? - zapytał nonszalancko; Lea skinęła głową. - I umiesz chować Znaki? - Ponownie skinęła głową. - A sprawiać, że przemieszczają się na skórze? - Znowu potwierdziła. - Cudownie - wyszeptał i pocałował ją tuż pod uchem, wywołując pełne zaskoczenia miauknięcie.

Miauknęła. Jakim, cholera, cudem, taki dźwięk wyszedł z jej gardła, chociaż była w ludzkiej postaci?!

- Pokaż mi.

Grzecznie pokazała mu wewnętrzną stronę ramienia. Nie musiała się nawet zbyt mocno koncentrować, wystarczyło, że tego chciała, a ciemne runy wypłynęły na jej skórę, zakwitając niczym egzotyczne kwiaty. Ten taniec, jak lubiła nazywać dowolne, kierowane wolą przemieszanie się ciemnych symboli po ciele, sprawiał jej na początku ból, dopóki Znaki nie przestały krwawić. Potem ich przywołanie przypominało wrażenie podobne do tego, jakie pozostawia przesuwający się materiał, z tym że nie na powierzchni, a gdzieś niżej, głębiej pod skórą. Delikatna pieśczość, która niosła ze sobą jakieś bliżej nieokreślone wrażenie szczęścia i radości.

Oto ja, w całej okazałości. Bez masek czy kurtyn.

- Jesteś bardzo, bardzo interesującym kotkiem, wiesz? - szepnął cicho, znowu tym niskim głosem, który sprawiał, że Lea traciła poczucie rzeczywistości. Podwinął rękaw swojej yukaty na obejmującej jej brzuch

ręce. – Patrz.

Po chwili jego lekko czekoladową skórę pokryły dwa rzędy ciemnych symboli. Zafascynowana przesunęła palcem po każdym z nich. Dziewięć! Niesamowite. Ale...

– Jeden się powtarza? – Ściągnęła brwi zaskoczona.

– Tak. Noszę podwójny Znak *Mocy*. Pozostałe to kolejno: *Spryt*, *Precyzja*, *Kontrola*, *Pomysłowość*, *Magia*, *Leczenie* i *Widzenie*. – Każdy z wymienionych Znaków wskazał jej palcem drugiej ręki. – Coś w rodzaju zestawu idealnego maga. Podobnie jak twoje cechy są zestawem idealnego drapieżnika. Z czego, zauważ, jeden ze Znaków, które noszę, poświęcony jest w pełni twojej osobie.

Zaśmiała się cicho.

– Akurat.

– Koteczko, nie umniejszaj znaczenia *Kontroli*. Ta umiejętność nie daje się rozciągnąć na nikogo innego. No, może zwiększa nieznacznie samokontrolę osoby noszącej, ale właściwie nie ma większego znaczenia poza tym, że umożliwia związek z kimś, kto nosi *Zmianę*. Natura zaprojektowała mnie dla ciebie!

W tym momencie wybuchnęła głośnym nieopanowanym śmiechem. Aż brzuch ją rozbolał, tym przyjemnym, niemającym nic wspólnego z nieprzewidzianymi w ludzkim projekcie dziurami.

– Koteczko! – mruknął, wyraźnie rozbawiony całą sytuacją. – Nie dam się tak traktować!

Przerzucił nogę przez jej biodra, usiadł na niej i zaczął łaskotać. Starła się wywinąć z żelaznego uścisku, ale nie była w stanie zmusić roześmianego ciała do jakichś bardziej skoordynowanych i zaplanowanych akcji. Próbowwała odwdzińczyć się pięknym za nadobne, ignorując rwący ból ramienia, ale dość szybko udało mu się unieruchomić oba jej nadgarstki gdzieś ponad jej głową.

Wtedy pocałował ją po raz kolejny. Tym razem odpowiedziała z wielką ochotą.



## 12.

NO DOBRZE, LEA ZDAWAŁA SOBIE DOSKONALE SPRAWĘ Z TEGO, że wpraszenie się na wieczory filmowe do bardzo zakochanej i oddanej sobie pary nie należało do najtaktowniejszych zachowań, ale wolała znosić tęskne spojrzenia obu panów wymieniane gdzieś nad jej głową, niż gapić się samotnie w ekran monitora. A tak, siedząc pomiędzy nimi na niewybaczalnie wygodnej kanapie w mieszkaniu Dimy, nie miała jak oddawać się swoim zwykłym dołom, depresjom i mentalnym połajankom. Poza tym znali się dość dobrze, aby chłopcy wiedzieli, kiedy dać jej w łeb – naprawdę, nie musiała się nawet odzywać, aby sobie na coś podobnego zasłużyć. Lei też wydawało się to dziwne, ale z drugiej strony chyba nigdy nie oberwała od nich za darmo, więc nawet jeśli grzebali troszkę w jej główce, była w stanie to przełknąć bez awantur. Zresztą już jakiś czas temu zauważyła, że agresywne reagowanie na uwagi, które słyszała jedynie w swoich myślach, trochę mijало się z celem. Druga strona zwykle nie widziała problemu w tym, że właśnie obraziła Leę w jej własnej głowie. Bezcelność.

W połowie trzeciego filmu zwykle usypiała, ululana do snu niskim głosem Dimy – podobnie działały na nią burze, najlepiej takie z piorunami. Kiedy po raz pierwszy spotkała (wówczas przyszłego) kochanka Andrieja w czasie szkoleń w Chinach, pomyślała, że oto poznała człowieka mówiącego grzmotami. Miał głos tak specyficzny, że czasami nawet nie słyszała słów, chociaż jej uszy wyraźnie wskazywały na to, że ten mężczyzna wypowiada jakieś dźwięki. Tylko że dla niej brzmiały właśnie jak pioruny, nie głoski. Andriej nie miał z tym problemów. Andriej nie miał problemów z niczym, co dotyczyło jego ukochanego, nawet jeśli właśnie na niego z jakiegoś powodu wrzeszczał. A kłócić się to wcielenie żeńskich fantazji umiało z niesamowitą pasją.

Dima był wysokim barczystym mężczyzną o ostrych, kwadratowych rysach, przenikliwie orzechowych oczach, a także długich czarnych włosach, które zwykle nosił zaplecione w cieniutkie warkoczyki. Lea niegdyś trochę złośliwie stwierdziła, że on po prostu dominował nad całą otaczającą przestrzenią (co Leę niepokoiło, nie czynił tego jakąś nadzwyczaj wielką sylwetką, a charyzmą). Kiedy spotkała go po raz pierwszy, niedaleko domku Nauczycielki Meng, instynktownie zmieniła kształt, sięgając po swoją najbardziej bojową formę. Z kolei Andriej zakochał się na miejscu. I tak się jakoś wszystko potoczyło.

Wetknięta pomiędzy dwa ciepłe ciałka, które sprawowały pieczę nad jej marudną stroną, mogła się zrelaksować. Naturalnie wolałaby spędzić ten czas z Szymonem, ale... Dłoń Andrieja wylądowała na jej głowie z całkiem

donośnym plaśnięciem. Podziękowała. Należało być grzecznym, gdy ktoś wyświadczał przysługę, mamusia dobrze Leę wychowała. Życie w Krainie Czarów wyglądało, jak wyglądało, dlatego wolała denerwować swoją obecnością najlepszych przyjaciół, a nie kochanka. Przynajmniej miała kogo. O! Zresztą Dima całkiem dobrze przejął obowiązki, dając miniwykład, żeby nie poczuła się tak zupełnie samotna. Zgromadzenia wystąpiły przeciw Prawom i roszcza sobie (nomen omen) prawo do głoszenia jedynej właściwej drogi i generalnie stanęły na podium z dumnie wypiętą pierśią, bo tylko oni mają rację. Cel był jeden – władza. Słowo, które według Lei ktoś powinien wykreślić ze słownika, ponieważ zbyt często pojawiała się na ciemnych kartach historii.

Historii! Co ona wiedziała o dziejach Krainy Czarów ponad to, co powiedzieli jej Szymon i Dima? Nic. *Nada. Null.* Niewiele nawet wiedziała o swoim pochodzeniu, jak się okazało. Faktem było, że jest najstarszą córką w symbolicznie magicznej prostej linii żeńskiej mistycznego słowiańskiego Rodu o „skazie”, która sprawiała, że przynależała krwią do tej cholernej Krainy. Z rozmów podsłuchanych na Obozach Lea dowiedziała się, iż normalnie dzieci o takiej pozycji ujawniały Znaki bardzo wcześnie – ona nie. A im silniejszy dar niosły geny, tym ujawniał się on później, nim wykwitły wszystkie, mijało zwykle parę lat – to by się zgadzało, gdyby nie fakt, że Ród był Rządzący, a Lea okazała się Rządzoną. To było dziwne. Podobno niemożliwe – przynajmniej Babka dawała jej to do zrozumienia przy każdej okazji. Szymon potwierdził, że pierworodni jednej linii z większym prawdopodobieństwem nie wykażą talentu, niż okażą się przeciwieństwem noszonej „skazy”. Powiedział jej również, że jej przypadek jest znacząco inny.

Znaki pojawiły się u Lei tak późno, ponieważ była rezultatem połączenia dwóch przeciwnych Rodów – obu umiarkowanie silnych, właściwie zgodnie z zapisami w jakichś supertajnych starych zwojach najwyższa notowana u nich liczba Znaków wynosiła Pięć. Daniela miała szczęście w genetycznej ruletce i choć była córką syna, jej organizm i tak miał dostateczną ilość chromosomów Krainy Czarów, aby obdarzyć dziewczynę zdolnościami. Zgodnie z rozkładem normalnym średnia liczba noszonych Znaków wynosiła Cztery, ich mniejsze czy większe występowanie wprawdzie się zdarzało, aczkolwiek rzadko. Szymon był tym „rzadko”, ale cały jego Ród był w istocie tym „rzadko”, więc dla niego Dziewiątka nie była niczym szczególnym. Natomiast w przypadku Lei pojawienie się Dziewiątki już tak. W tym miejscu jej kochanek przekroczył granicę statystyki, krzyżując ją z genetyką i rachunkiem prawdopodobieństwa, w efekcie wydając z siebie coś, co Lea zwykle nazywała bełkotem. Wyciągnęła więc własne, o wiele mniej profesjonalne wnioski, być może niezupełnie prawdziwe, ale przynajmniej zrozumiałe. Babka ze strony Ojca pochodziła z Rodu Rządzonych, Babka ze strony Matki – z Rodu Rządzących. W wyniku konfliktu krwi (jak przy konflikcie serologicznym) i naturalnej mutacji gamet wyszła ona – *tadam!* Przez całe to rodowe zamieszanie Znaki pojawiły się u Lei późno, ponieważ

organizm nie wiedział, jak ma w efekcie końcowym wyglądać sprawa tych magicznych ustrojstw. Mały błąd w wielkim planie. Gdyby okazała się Rządząca - o tak, wtedy nazywaliby to cudownym darem, ale że stało się inaczej - nawet na podstawowym wymiarze budowy genetycznej pozostawała Rozczarowaniem. *How wonderful was that, really?*<sup>[1]</sup>

Kolejne uderzenie w łeb, tym razem od Dimy. Kiedyś będzie musiała zapytać, jakim cudem wiedzieli, co siedzi w tej jej pustej główce. Ale na razie skuteczność pilnowania miała większy priorytet niż poznanie tajników. Może uzalała się nad sobą w regularnych odstępach czasu? Albo krzywiła się w jakiś charakterystyczny sposób?

Najwidoczniej. Zresztą należało jej się za sam fakt, że popsuła chłopcom romantyczny wieczór we dwoje. Do cholery, potrzebowała wsparcia, skoro jej facet włóczył się, bogowie wiedzieli gdzie, zostawiając ją samą. Samą! Najgorsze, że tym razem nawet nie był gdzieś po drugiej stronie globu! Neeee, skądże. Leżał sobie właśnie w swoim grzesznie wygodnym łóżku w sypialni o niebieskich ścianach, zapewne czytał jakąś magiczną księgę z zaklęciami czy inną alchemiczną cholere. W łóżku, w którym spędzili kilka bardzo ciekawych... chwil...! Niech go szlag! Niech szlag trafi całą tę cholerną politykę! Po co w ogóle tańczyć wokół śmierdzącego, niewygodnego problemu?! O wiele łatwiej byłoby zniszczyć wszystkich członków Zgromadzeń, po prostu rozszarpać, posprzątać resztki i zbudować wszystko od początku.

- Leo, pazury! - Duża chłodna ręka Dimy na jej ramieniu ważyła chyba z tonę.

Przymknęła oczy i wykonała serię głębokich uspokajających oddechów. Jej nowe ciało czasami odstawiało tego typu numery, kiedy odczuwała silną, wszechogarniającą chęć mordy. Częściowe przemiany - pojawienie się pazurów czy kłów, dodatkowe ścięgnię czy wzmocniona i przyspieszona motoryka. Wyostrzony wzrok i słuch. Szymon wyczytał gdzieś w rozpadających się, starych kronikach, że odnotowywano podobne umiejętności u osób ze *Zmianą*, pochodzących z przeróżnych linii, na różnych pozycjach w hierarchiach rodzinnych. Wszelkie znalezione przez niego zapiski zwykle przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Wygrzebał też informację, że wszyscy wykazujący podobne zdolności nosili wiele Znaków określających ich zwierzęce zdolności. *The more the merrier*<sup>[2]</sup>, po prostu.

- Dzwonił ostatnio? - zapytał Andriej, wstając z kanapy. - Napijesz się czegoś mocniejszego?

- Nie. Dodaj alkohol, odejmij jego i zrobię z kanapy konfetti. Nie dzwonił. Jest na miejscu, ale Daniela próbuje go włączyć w struktury Zgromadzeń, więc nie ma na nic czasu. O czym, naturalnie, dowiedziałam się od popiątych i poszóstych osób.

- Łżesz - parsknął Dima. - Zawsze wiesz, kiedy wchodzi na twoje terytorium. Jesteś drapieźnikiem, Leo - stwierdził, odwracając jej głowę do siebie. - Byłaś nim nawet przed pojawieniem się Znaków. To wszystko jest

zapisane głęboko w twoim ślicznym ciałku. Znaki są emanacją esencji tego, kim w gruncie rzeczy jesteś. – Uśmiechnął się lekko. – Tak mawiał mój Nauczyciel. Lubię sądzić, że i tutaj miał rację. Duże koty mają pewną irytującą cechę, wiesz? Są strasznie uparte w czasie polowań, nawet jeśli miałyby to zagrozić ich życiu.

Wychowawcy też czasem traktowali ją tak, jak teraz Dima, głównie po tym, kiedy pobili ją prawie do nieprzytomności. Nienawidziła tego gestu, redukującego jej pełną kontrolowaną przemoc osobę do malutkiej, bezbronnej dziewczynki. Nie była bezbronną dziewczynką, nie musiała już znosić upupiających zachowań, nie musiała chować głowy między ramiona ze wstydu, że jest gorsza. Nie była gorsza, na wszystkie świętości! Nigdy! Z jakiegoś powodu, kiedy w podobny sposób traktowali ją Szymon albo Dima, nie rzucała się na nich w pierwszym odruchu wściekłości. Nie było to bynajmniej zasługą żelaznej samokontroli. Lea знаła się dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, jak mało żelazna owa samokontrola była. Coś w kochanku Andrieja mówiło wyraźnie, że nie chodziło mu o poniżenie Lei, że patrzył na nią w inny sposób niż większość mieszkańców Krainy Czarów.

– Wiem, gdzie on jest na moim terenie – odpowiedziała, nie próbując się uwolnić. – Ale poza tym nie będę polować. Rozumiem, dlaczego mi nie wolno. I chociaż mój rozsądek to wszystko wie, zamknięta w mojej cienkiej skórze bestia wyje z rozpacz. Rozumiesz?

– To nie powinno tak wyglądać – mruknął Andriej, stawiając przed nią wysoką szklankę z jakimś drinkiem o wyraźnym, charakterystycznym zapachu.

– Brzoskwinie? – zapytała, ignorując uwagę przyjaciela.

W odpowiedzi Andriej skinął głową.

– Nasz świat nie powinien wyglądać tak, jak wygląda – westchnął Dima. – Żeby przywrócić do równowagi to, co zostało z niej wytrącone, trzeba wielu poświęceń. To, co zostało wytrącone z równowagi, wymaga powrotu do niej, kochany. Brzmi to strasznie biblijnie, górnolotnie, ale mniej więcej do tego się sprowadza. Szymon znajduje się w idealnym położeniu, aby pchnąć wahadło w odpowiednią stronę.

Nie odezwała się, zbyt świadoma faktu, że w tej całej grze jest po prostu pionkiem, który przez przypadek znalazł się na zbyt dużej szachownicy. Mogła przeżyć tylko wtedy, jeśli będzie posłuszna królowi. Dla Lei tym królem był Szymon, nawet jeżeli w szerszej perspektywie okazywałby się słabszą figurą. Reszta nie miała dla niej żadnego znaczenia.

– Zgromadzenia... – Lea chciała coś powiedzieć, ale przeszkodził jej dźwięk telefonu Andrieja.

– Jeszcze trochę – szepnął cicho Dima i przytulił ją mocno. – Zobaczysz, niedługo wszystko się skończy. Najważniejsze to uporać się z Danielą.

Skinęła głową. Oczywiście wiedziała, że Dima ma rację. Że centrum problemów Lei stanowi jej ukochana Kuzynka.

---

[1] *How wonderful was that, really?* - tu: jakże to było cudowne, czyż nie?

[2] *The more the merrier* - tu: im więcej, tym lepiej; dosł. im więcej, tym radośniej.

## 13.

NIE WIEDZIAŁA, JAK TO POZAŁATWIAŁ, KOGO ZASTRASZYŁ, KOGO UWIÓDŁ, ale dostała specjalny świstek, który uprawniał ją do nieuczestniczenia w ostatnim Obozie. Świstek podpisany przez Ismaela. Gdy spojrzała na ten starannie wykaligrafowany podpis, zapaliła jej się taka mała lampka tuż nad głową. I nawet wydała z siebie dla lepszego efektu głośne „AHA!”. Dlaczego tylko ten Wychowawca był inny? Dlaczego tylko on nie emanował bezsensownym okrucieństwem jak reszta hołoty? Bo nie był resztą hołoty. No, naprawdę, jej zdolności dedukcji zasługiwały na jakiegoś Nobla czy inne diabelstwo. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko fakt, że wtedy jeszcze nie miała pojęcia o istnieniu porządku innego niż ten, który jej dość dosłownie wbijano do łba. Że Kraina Czarów nie powinna być takim bagnem, jakim się prezentowała. To niedoinformowanie nie było też winą Matki, skąd ona mogła wiedzieć, jak to wszystko wygląda w środku, skoro sama miała to szczęście, że cholerne drzwi do Krainy Czarów dla niej pozostawały zamknięte. Tylko jedna osoba w ich Rodzinie mogła mieć wiedzę dotyczącą wewnętrznych kręgów Krainy. Lea nie wahała się przypuszczać, że sprawczynią tego całego śmierdzącego bałaganu była Daniela. Cholerne Cudowne Dziecko wykorzystało kolejną okazję, aby się nad nią poznać. Zemścić nie do końca wiadomo za co. Chociaż Lea zaczynała sądzić, że Kuzynka w tym wszystkim miała jakiś większy cel poza zwykłym, samolubnym zaspokojeniem swoich sadystycznych pragnień.

Oficjalnie Lea jechała na miesięczny kurs językowy do Szkocji, w okolice Edynburga. W rzeczywistości niewielki, zaskakująco nierozkolekotany autobus wiozł ją gdzieś w niezbadane tereny południowych Chin, do kobiety imieniem Meng. Ona z kolei miała poprowadzić ją dalej, do miejsca, gdzie Lea nauczy się, kim naprawdę jest. Nie żeby Szymon nie wygłosił dostatecznej ilości wykładów teoretycznych na ten temat. Nie, nie. Było ich dość, w różnych formach i najróżniejszych okolicznościach – szeptanych, deklamowanych, wyśpiewywanych. Wykorzystywał każdą możliwość, aby opowiadać Lei o Prawach i Krainie Czarów, aby oswoić ją ze światem, którego częścią się urodziła. Teraz po prostu przyszedł czas na zajęcia praktyczne. Wolałaby spędzić je, rozkoszując się miękką pościelą łóżka jej osobistego Rycerza Wybawcy. Niestety, gdy została zdetronizowana z funkcji Jej Wysokości Mielonki, straciła przywilej nieograniczonego okupowania rzeczzonego skrawka nieba. Och, oczywiście, że próbowała zmienić tę nową, zbyt restrykcyjną jak na jej gusta politykę wizową! W przeróżny sposób. Chociażby przy zastosowaniu Strategii Kuchennej albo Strategii Dywanowej, albo Technik Kanapowych czy w końcu Techniki

Zagłady Waniennej.

Szymon pozostawał niewzruszony. Miała w końcu ważniejsze sprawy na głowie.

Aha, jasne. Coś ważniejszego niż wylegiwanie się u jego boku, w nowo odkrytym skrawku bezpieczeństwa i szczęścia? Parsknęła pod nosem. Straciła już dawno nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie się dla niej podobne miejsce, poza objęciami Rodziców. A i tam, dzięki Znakom Daniela, zaczęła się czuć nieswojo. Babka przy każdej okazji gloryfikowała Kuzynkę, w czym akompaniowało jej Wujostwo. Pozostała część Rodziny została zepchnięta gdzieś w nicość istnienia. Potem były Obozy przepełnione bólem, nieufnością, agresją i izolacją. To uczucie, które rozpływało się po ciele jak lawa, uspokajało lęki, oddalało wszystkie koszmary, to nie był efekt narzucony przez pierwsze tygodnie Przywiązania. Ona naprawdę zachowywała się jak durna, zakochana baba. I to, że była durną, zakochaną babą, wcale jej nie tłumaczyło. Przynajmniej nie robiła krowich oczu – tych takich dużych, bezdennych, pozbawionych woli. Chyba by się sama udusiła, gdyby własne uczucia zredukowały jej szanowną osobkę do tak upadających stanów. Przynajmniej nie zamieniła się w lalkę, o czym w sumie dość wcześniej dała znać.

Nigdy nie twierdziła, że była łatwą osobą do opanowania. Nikt nie napisał też stosownej instrukcji obsługi.

Pomimo tego całego stłoczenia wad, obwarowanego murami wrogości, chłodu i złośliwości, Szymon nie zmienił zdania co do Lei. Nie żałował. Odbierała to gdzieś w głębokich warstwach siebie, w miejscu, o którym nie miała wcześniej pojęcia, powołanym do istnienia przez to, że Szymon z nią był. Ta wiedza po prostu się w niej znajdowała, to ciągle potwierdzenie, ciepłe uczucia, które pachniały jej Rządzącym. Oczywiście czasem targały nią wątpliwości. A czemu ja, a co we mnie jest takiego, bla, bla, bla. On to znosił, wszystko, i to chyba najbardziej dziwiło. Za połowę tych uciekających jej z ust pytań, a dokładniej za ich częstotliwość, powinien był... sama nie wiedziała już co. Więż empatyczna, którą przyniósł początek Przywiązania, pozostała, choć nie aż tak absurdalnie czuła i bezpośrednia... Chociaż, czasem, gdy wprowadzała w życie swoje Niecne Taktyki, nie była taka pewna tej osłabionej wrażliwości. Albo po prostu wtedy opadały wszystkie bariery, zwyciężało pragnienie bliskości. Bardzo wyraźne pragnienie. Bardzo silne pragnienie. To, co sama myśl o Szymonie potrafiła z nią zrobić, samo wspomnienie tych bezdennych, prawie czarnych oczu... Zadrzała mimowolnie. Bynajmniej nie z zimna czy zmęczenia. I, naturalnie, oblała się prześlicznym, zdradzającym wszystko rumieńcem. Przy każdej takiej myśli chowała się głębiej w swoim zakątku autobusu i odwracała głowę w kierunku szyby.

Meng okazała się kobietą koło czterdziestki, o uderzających zielonozłotych oczach, które zupełnie nie pasowały do jej czarnych włosów i chińskiego pochodzenia. Wystarczyło, że spojrzała na Leę, aby wszystkie wewnętrzne alarmy zawyły z wszelką mocą. Dopiero gdy Chinka

uśmiechnęła się do niej w sposób, który niósł ze sobą większą obietnicę przemocy niż przyjaźni, Lea zrozumiała, z kim ma do czynienia. Oto stała przed kobietą, która nosiła *Zmianę*. Kobieta, której oczy pozostawały oczami drapieżnika, nawet kiedy zrzuciła futro.

Od razu pokochała tę uroczą kobiecinę. Najwyraźniej z wzajemnością. Padły sobie wręcz w objęcia po krótkiej chwili wpatrywania się w siebie z wielkim napięciem, oceniając, czy trzeba będzie tej drugiej rzucić się do gardła.

Pierwszą noc w tym dzikim, nieznanym kraju spędziła pod dachem niewielkiego domku Meng, który spełniał chyba wszystkie wyobrażenia Lei o niewielkich chińskich domkach. Otoczony był intensywnie zieloną, bujną roślinnością, schowany przed resztą mieszkańców wioski. Ażyl. Kobiecina nienaganną angielszczyzną opowiadała Lei historie wszystkich blizn, które nosiła. To była długa opowieść. Lea miała ich jedynie parę, nabytych głównie z własnej głupoty. Meng ze swoich była ogromnie dumna. Jak przystało na wojowniczkę. Dla niej fakt, że mogła walczyć, że miała kogoś, kto ubezpieczał w tej walce jej plecy, stanowił radość całego istnienia. Opowiadając o mężczyźnie, którego była kochanką, a z którym łączyły ją więzi Przywiązania – promieniała.

- Mówił, że do tej pory wychowywała cię ta banda wywrotowców? - zapytała w końcu Meng.

Przeniosły się z pokoi na oświetloną łuną chińską werandę, zamieniając herbatę na wino. Naprawdę smaczne wino. I mocne. Przyjmując pierwszy kieliszek, złamała zasady, które wpajano jej na Obozach. Nie wolno pić, alkohol osłabia samokontrolę. Ale skoro odrzuciła większość tego, co pletli Wychowawcy, mogła również i to. W razie czego Meng powinna sobie z nią spokojnie poradzić.

- Tak.

- Biedactwo. Oni nie mają pojęcia o wychowaniu kociąt, a co dopiero... - Kobiecina mlasnęła językiem, zniesmaczona. - Mówił też, że jesteś kotem. Musiałś mu powiedzieć? - Lea potrząsnęła przecząco głową, zaintrygowana tą niespójną na razie wypowiedzią. - Zawsze był bystry. Ma dobrą, mocną krew i zna Prawa. Nie mogłaś lepiej trafić, kochanieńka. Nie mogłaś.

- Skąd wiesz, że jestem kotem? - zapytała.

- Ruszasz się jak kot - odpowiedziała Meng, dolewając szczerze alkoholu im obu. Lea nawet nie zauważyła, kiedy zniknął. - Psy niełatwo rozpoznać, chyba że łążą w stadzie. Resztę da się określić po ruchach, spojrzeniach, czasem zapachu. Ale koty najłatwiej, zwłaszcza kobiece. Wąchasz czasem ludzi, Leo? - zapytała znienacka.

- Czasem - odpowiedziała niechętnie, zawstydzona.

No, cholera, to nie było normalne, wałęsać się ulicami i wachać obcych. Ale po prostu nie była w stanie się opanować. Wychowawcy zabraniali im używania zdolności wynikających ze *Zmiany* poza starciem, czy na wyraźne polecenie tego, do kogo będą należeć. Byli w końcu ludźmi, nie zwierzętami, i mieli się odpowiednio zachowywać! O tym również opowiedziała Meng.



Kobiecina pokiwała tylko smutno głową.

- Widzisz, kochanieńka, oni zapomnieli, na czym polega noszenie Znaków. A przez to, że to są te wasze słowiańskie runy, to u was powinna być najmocniejsza krew, najsilniej zakorzeniona tradycja Praw. My, tutaj, też mamy swoje Rody. Z nas wszystkich zawsze były straszne włości, a jakże często niezdrowo kochliwe. Teraz tutaj, na obrzeżach, Prawa są respektowane, a u was zanikły. Masz Znaki, zmieniasz się, po pierwszych paru przejściach pomiędzy kształtami zaczynasz wyciągać najbardziej fascynujące i przydatne umiejętności z tej nowej postaci. Używasz ich, bo do tego są. Nie stajesz się przez to zwierzęciem. A nawet jeśli, to co z tego? Ja do dzisiaj, gdy spotykam kogoś nowego, sprawdzam, czym pachnie. - Meng posłała jej szeroki uśmiech. - My, kotowate, zawsze jesteśmy ostrożne.

To była pierwsza lekcja, ale o tym Lea dowiedziała się dopiero następnego dnia, gdy Meng zabrała ją w góry. Wbiegały na szczyty, bawiąc się i ganiając jak niesforne kocięta. Chyba powinna była zapytać swoją gospodynię, kiedy ruszą dalej, tam, gdzie właściwie jechała. Nie miała jakoś do tego głowy, przemykając w cieniach, bawiąc się w berka, przeskakując z formy w formę, polując na towarzyszkę psot. Czasem podkładały się do osady, zlewając się z otoczeniem, i obserwowały. Meng ustalała nawet cele tych podchodów - znajdź, policz, oceń - nic wyszukanego, ale wymagającego cierpliwości i obserwacji. Leżenie przy ziemi, pośród liści, i patrzenie czy węszenie nie stanowiło żadnego wyzwania. Pod tym względem też pasowała do swoich futrzanych form. Mogła czekać nawet do końca świata, a swoje pazury i tak położyć na ofierze.

Pod wieczór dopiero usłyszała wyjaśnienia. Siedziały w leśnych cieniach, w mieszaninie mroku i światła, które wprawiało Leę w zachwyt. Nie sądziła, że matka natura mogła wymalować coś tak cudownego. Po całym dniu zabaw wszystkie odgłosy krążyły w żyłach, jakby ciało zgrało się z tymi rytmami i połączyło z nimi w nierozzerwalną całość. Siedziała nago na wilgotnej tętniącej życiem ściółce i rozkoszowała się tym doznaniem.

Głos Meng harmonizował z otaczającym je światem dźwięków, nie burząc go.

- Moją wioskę zamieszkują tacy jak my. Każdy o innych zdolnościach, o innych preferencjach pracy i taktykach. Kiedy przybywa ktoś nowy, podejmujemy decyzje, czy może zostać. Możesz z nami zostać, Leo. Będę twoją nauczycielką. I zamierzam ci pokazać, jak cudowne otrzymałaś od życia dary.

Czas spędzony z Meng był czymś zupełnie innym niż to, co Lea przeżyła w Obozach. Bywały dni, gdy w ogóle nie wracała do ludzkiej postaci - przeskakiwała jedynie z jednej kociej formy w drugą, biegając po lasach lub polując dla czystej przyjemności polowania, łącząc się ze zwierzęcą stroną własnej natury (według nauk Meng, każdy człowiek takową posiadał). W inne dni nowa Nauczycielka wyznaczała jej różne zadania. Znaleźć ludzi lub wcześniej oznaczone zwierzę w płataninie roślinności otaczającej

wioskę. Uczyła się korzystać z nosa, z pazurów, wspinać na drzewa w ciągu paru sekund, czatować na gałęziach i zaczajać na ofiary z wysokości. Doskonaliła wszystkie umiejętności, wszystkie zmysły, a przede wszystkim nie bała się, że znowu ktoś zada jej ból za to, że zrobiła coś nie tak, jak Wychowawcy to sobie wymyślili. Meng nie krzyczała, nie denerwowała się, nie obchodziło ją, w jaki sposób Lea coś znalazła czy wytropiła, gdyż, jak mawiała, osoby ze *Zmianą* same z siebie dość szybko zaczynały polegać na dodatkowych zdolnościach, jeśli tylko „żadna banda półmózgów nie próbowała tego zahamować” (jej słowa).

W trzy dni po tym, gdy Meng przyjęła ją na uczennicę, Nauczycielka przyprowadziła o poranku nieznanego chłopaka, sądząc po wyglądzie, Rosjanina. Pierwszym, na co Lea zwróciła uwagę, były jego oczy – tak potężnie nasycone błękitem, jakby wpatrywała się w... łąkę. łąkę, która rozkwita milionem chabrow, niezapominajek i astrów. Długie blond włosy nosił splecione w perfekcyjny warkocz. Ze sposobu, w jaki się poruszał, biła pewność siebie, granicząca z arogancją. Aż ślina nabiegała do ust, taki był smakowity. Naprawdę miała ochotę go schrupać. Posłał jej uśmiech, jakim zapewne uśmiechał się sam Szatan. Na dodatek jaśniał wewnętrznym światłem, ściągając na siebie całą uwagę otoczenia. Lei prawie ugięły się kolana. Nieznajomy był całkowitym przeciwieństwem Szymona. Gdy pierwszy raz zobaczyła swojego Rycerza Wybawcę, poczuła nieopanowany strach przed ciemnością, jaką w sobie nosił. W czerni niesamowitych źrenic Szymona widziała silną, nieugiętą wolę. Ten chłopak całym sobą obiecywał radość i przyjemność.

- To Andriej – rzuciła Meng, wychylając się spomiędzy pobliskich drzew.  
- Uczy się u Zhou. Jest starszy. To Lea. Pobiegacie razem. Zhou czeka na was w lesie. Już was nie ma. Macie czas do wieczora.

Chciała zażądać wyjaśnień, nawet tupnąć dla lepszego efektu, ale... nie zrobiła tego. Już po trzech dniach pojęła, że pewnych informacji po prostu nie otrzyma, podczas gdy innymi zostanie obdarzona w nadmiarze. Jej nowa Nauczycielka po prostu taka już była, a może uważała przemilczenie za najlepszą drogę do wiedzy. Tak czy inaczej, nie było o co się wyklócać. Lea wzruszyła więc ramionami, odwróciła się na pięcie i weszła pomiędzy drzewa, wdychając głęboko w siebie całe otoczenie. Chłopak podążył za nią lekkim, prawie tanecznym krokiem. Uśmiechał się szeroko, zadowolony bogowie wiedzieli z czego.

Zawołał ją po jakichś trzech czy czterech metrach. Odwróciła się w jego stronę, w końcu mieli biegać razem. Nie osiągną dużo, jeśli się choć trochę nie poznają, prawda? A chciałyby się dobrze wywiązać z powierzonego zadania. Zależało jej na pochwałach od Meng. Tak naprawdę-naprawdę zależało. Jak nigdy wcześniej.

- Patrzysz na mnie jak na obiad, ślicznotko.

Mrugnął do niej zaczepnie, a ona natychmiast oblała się rumieńcem, powodując jedynie wybuch bardzo niepokojącego dźwięku z jego strony – śmiechu, który sprawił, że poczuła się kobietą w każdym calu. Straciła

poczucie równowagi, które zyskała, biegając po lasach. Przede wszystkim ten dźwięk sprawił, że zaczęła nagle o sobie myśleć w kategoriach wad i niedoskonałości: „Ślicznotka? No gdzie, przecież mam za duże uda, za małe wcięcie w talii!”. Ugh. To było tak stereotypowe.

- Nie strasz zwierząt - warknęła zirytowana własnymi reakcjami. W odpowiedzi uniósł jedynie brew. - Mamy znaleźć Zhou. Z tego, co wiem, chodzi w cieniach. Będę potrzebować swoich uszu i nosa, aby go wyczuć. A ty?

- Ja również chodzę w cieniach. - Rozłożył szeroko ręce w bezradnym geście. - Dlatego jest moim Nauczycielem. Logiczne, prawda?

Dedukcjo, ma dedukcjo, należy ci się Nobel za tve bezbłędne i błyskawiczne działanie! No, ale z drugiej strony Andriej dziwnie na nią wpływał i to można było poczytać za usprawiedliwienie. Tak też zrobiła. Niech go szlag trafi albo tygrys zeżre! Ba, sama może wyciągnąć swoje kiełki, aby to ostatnie zrealizować. Cóż. Czasem bogom należy pomagać! Prawda? Prawda.

Na wszystkie świętości, potrzebowała Szymona. Tak strasznie go potrzebowała. I oczywiście właśnie teraz znajdował się cholera wie jak daleko i cholera wie gdzie. To nie powinno tak wyglądać. Powinni byli zostać razem, a nie... Przymknęła na moment oczy, koncentrując się na tym miejscu, gdzie usytuowała się więź empatyczna. Spróbowała przekazać Szymonowi drobną pieśczętę, jak dotknięcie piórem. Prawie natychmiast przyszła odpowiedź, jakby omywała ją spokojna, pełna uczuć fala. Uśmiechnęła się, chociaż nie mógł tego zobaczyć.

- No nieeee! Dziewczynki się tak uśmiechają tylko wtedy, jeśli komuś oddały swoje serducho! Masz już kogoś?! Cóż za strata...! A myślałem, że pofiglujemy!

Nie ruszyła się z miejsca, po prostu na niego spojrzała, nie próbowała nawet powstrzymać zalewającej ją wściekłości. To, że oddawała się w najlepsze sentymentalizmom, że pozwalała, aby przejmowały nad nią kontrolę jakieś romantyczno-okołerotyczne emocje, nie usprawiedliwiało nikogo poza nią samą do przerywania tego stanu! Nikogo!

Chłopak zbladł. Cofnął się o krok, układając ciało w pozycji obronnej, którą jakiś czas temu pokazywała jej Meng. Nie wiedziała, jak bardzo była to skuteczna garda, jakie posiadała w walce słabe punkty, ale - co Nauczycielka powtarzała wiele razy - nie na darmo *Zmiana* jest tak poszukiwanym darem. Siłę i prędkość, które zyskiwała w swojej futrzanej postaci, trudno było przeciwstawić innym Znakom. Nie dawało jej to, o czym doskonale już wiedziała, niezniszczalności i wszechmocy, ale zapewniało przewagę, która w większości starć mogła przeważyć na jej korzyść.

- Nie ciągnij mnie za ogon, Andriej.

- Koty - mruknął chłopak, wracając do neutralnej pozycji. - Postaram się. Chodźmy znaleźć Zhou. Mam pomysł, gdzie się dziadyga mógł zaszyć.

Skinęła głową, próbując ze wszystkich sił opanować domagającą się krwi wściekłość. Na Obozach szło jej łatwiej, musiała się tam po prostu

ograniczać do zadawania mentalnych ran i tortur. Nikt nie wymagał od niej współpracy z Wychowawcami. Dzisiaj z Andriejem miała biegać cały dzień. Lekcja - nie rozszarpywać nowo poznanych ludzi tylko dlatego, że nadepnęli jej na ogon. Dać im szansę.

Gdy patrzyła z ukosa na radośnie uśmiechniętego lekkoducha, wątpiła, aby kiedykolwiek udało im się zaprzyjaźnić.

Niemożliwe.

Wylegiwała się na polanie, zwinięta w kłębek wokół śpiącego ucznia Zhou. Kocim zwyczajem lubiła wyciągnąć się w promieniach słońca i wygrzewać do woli, zwłaszcza po wyteżonym bieganiu. Dzisiejsze zadanie od Nauczycieli było banalnie proste - Andriej miał ją złapać w ciągu godziny, a dokładniej - zdjąć jej z szyi wstążkę z dzwoneczkiem. Dzwoneczkiem! Kiedy Meng tłumaczyła, na czym miało polegać ćwiczenie, Lea miała ochotę zapytać, czy nie lepiej, aby przyczepili jej do ogona nadajnik GPS. Była w stanie sprawić, aby draństwo nie wydawało żadnych dźwięków, ale bez przesady! Na szczęście Andriejowi nie udało się jej złapać, ale musiała się trochę napracować, aby jej honor nie ucierpiało. Po upływie wymaganego czasu po prostu „klapnęli na polance”, jak to uroczo ujął jej towarzysz. Obojgu należała się chwila wytchnienia po tak intensywnym uganianiu się za sobą nawzajem. Musiała przyznać, że Andriej świetnie się ukrywał w tych pieprzonych cieniach, co czyniło zadanie wyjątkowo upierdliwym.

Zamruczała zadowolona i przeciągnęła się leniwie. Brakowało jej tylko jednej osoby do pełni szczęścia, ale ponieważ Szymon nie mógł tu być wraz z nią, Lea zadowolala się towarzystwem Andrieja. Przez ostatnie tygodnie nauczyła się cieszyć jego obecnością. Przyzwyczała się także do pełnych erotycznych podtekstów żartów, złośliwych uwag, niewybrednych zachowań, trafnych spostrzeżeń i bystrych, „ostrzych” analiz sytuacji. Gdyby miała wejść w paszczę lwa, wolałaby to zrobić z nim u boku. Przynajmniej byłoby zabawnie, nie wspominając już, że znacząco wzrosłyby szanse na przeżycie.

Zmieniony oddech wtulonego w nią Andrieja uprzedził Leę, że towarzysz się budzi z popołudniowej drzemki. Obłapiające jej szyję ręce tylko ten fakt potwierdziły. Naprawdę, trudno było się oprzeć przytulaniu do wielkiego kota, który nie stanowił bezpośredniego zagrożenia. Zamruczała, kiedy zaczął ją drapać.

- Chyba musimy wracać - szepnął gdzieś w okolice jej kłębu. - Meng mówiła, że czekają na kogoś i mamy być grzeczni. Uwierzysz? My i grzeczni?

Zmieniła kształt na ludzki dopiero koło drzewa, przy którym ukryła ubranie. Nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad paradowaniem nago przed kimkolwiek, właściwie nawet z Szymonem wciąż miała problem. Jako wychowanka krajów tak zwanego Zachodu wolała, aby ciało było w czymś schowane przed wzrokiem obcych. Najlepiej w jakąś grubą zbroję, ale od biedy bawełna też się nadawała. Po pierwszej dość głośnej

i wielojęzycznej kłótni na ten temat Andriej postanowił pozostawić jej jednak trochę prywatności, aby mogła się spokojnie i w miarę bez stresu ubrać. Nawet spokojny Zhou wyraził swoje uznanie dla tamtej awantury. Musieli się imponująco wydzierać, skoro słyszał ich aż w domku Meng. Słowiański temperament, jak to skwitowali Nauczyciele. A potem dorzucili, że ich uczniowie są siebie warci.

- Mówiła, na kogo czekają? - spytała Lea, wygrzebując się z krzaków. Czuła się dziwnie na dwóch nogach, prawie nienaturalnie.

- *Niet.* Ani słowa. - Uśmiechnął się zaczepnie. - Długo jeszcze zostajesz?

- Góra dwa tygodnie i muszę wracać do domu - westchnęła. - Domu. Gdybym mogła ściągnąć tu rodziców, w życiu nie ruszyłabym stąd swojego futrzastego dupska.

- Miejska dżungla nie jest dla ciebie, hm? Mało drzew, nie ma na co polować... Taak. Ale przynajmniej on na ciebie czeka.

- Te, Sherlock, zapominasz o całej otoczce społecznej. Co z tego, że czeka, skoro moje Zgromadzenie jest zepsute i skończenie szalone. Tak w złą stronę szalone.

- A którekolwiek jest w tę dobrą stronę? - westchnął, teatralnie rozkładając ręce.

- Odmawiam komentarza.

Roześmiał się. Wrócili biegiem do Wioski, jak zaczęli nazywać luźne skupisko domów Nauczycieli. Andriej próbował pokazać jej, w jaki sposób przemyka w cieniach, tak jak ona wcześniej uczyła go rozpoznawać dźwięki i zapachy otoczenia. O to chodziło też we wspólnych treningach, przekazując sobie nawzajem wiedzę, próbując wykształcić umiejętności nieokreślone Znakami, zwiększali skuteczność. Swoją szansę na przeżycie - i właśnie tak nazywała to Meng, nie przybierając żadnej z póż Wychowawców. Nie przyjmując ich filozofii o wytrenowaniu odpowiednio skutecznej broni.

Kiedy wychodzili spomiędzy drzew, Lea wciągnęła powietrze głębiej w płuca, zgodnie z nawykiem, który wyrabiała w niej nowa Nauczycielka. Miała sprawdzać otoczenie, szukać zagrożeń, nigdy nie zakładać, że wszystko było takie, jak je zostawiła. Zachowanie godne paranoika, owszem, ale biorąc pod uwagę taktyki Zgromadzeń, tylko wytrenowana paranoja mogła zapewnić przetrwanie. A, jak to zasugerowała Meng, Lea zapewne swój ogon lubiła? Lubiła. To będzie sprawdzać, czy nikt się nie zaczął.

Wszystkie zapachy były na swoim miejscu - trawa, dom, jedzenie, przyprawy, Nauczycielka, Szymon, Zhou, kompost, ognisko pani Xian... Zatrzymała się w pół kroku.

- Co jest? - Głos Andrieja był wyraźnie zaniepokojony.

- Przyjechał gość - odpowiedziała mu Meng, wychodząc na niewielką werandę. - Nie spodziewała się. Zhou cię zabierze. Muszą się przywitać. Jak przystoi.

Nie rzuciła się biegiem do domu, nie zawyła z radości, nie zaczęła skakać. Zachowała pełnię kociej chłodnej godności, po prostu stanęła

w miejscu i czekała. Skinęła głową Andriejowi na pożegnanie, ledwo rejestrując jego odejście. Dopiero kiedy kroki Zhou i jego ucznia rozplynęły się w cieniach, kiedy jej nos przestał rejestrować obecność Meng, ruszyła powolnym krokiem w stronę domku. Siedział w niewielkim salonie, jak wyjęty z fantazji o mocarnych, silnych wojownikach Państwa Środka, rozpostarty na czerwonych poduchach, król wszystkiego, na co spojrzał. Jego czarne wilgotne włosy opadały na jedwabną szatę w kolorze nocnego nieba, haftowanej srebrną nicią w tygrysy otoczone płatkami kwiatów. Pod ciężarem jego uważnego spojrzenia Lea poczuła się brudna, obdrapana, obca. Zdziwiła ją, jak łatwo podporządkowywał sobie każdą przestrzeń, w której się znalazł. Każda należała do niego, urodził się, by wszystkim władać.

Nie padła przed nim na kolana. Bez słowa czekała, aż sam wstanie i przyjdzie ją przywitać. Nie będzie przed nikim zginać karku. Nigdy więcej.

O brzasku Meng zaprowadziła ich do lasu, na tę samą polanę, na której dzień wcześniej jej uczennica wygrzewała swoje futro w słońcu. Szymon w milczeniu podszedł do granicy drzew i usiadł pod jednym z nich, dostatecznie blisko, by móc obserwować sytuację. Od kiedy tylko Nauczycielka ich obudziła, miała złe przeczucia. On przyjechał tutaj z jakiegoś powodu. Mimo łączących ich uczuć nie ryzykowałby podążenia tym samym szlakiem co jego Rządzone bez ważnej przyczyny. Dopiero w tym idyllicznym otoczeniu przeczucie przeistoczyło się w wiedzę. Coś miało się wydarzyć – coś, co było ważne, rytualne.

- Będzie świadkiem. - Meng wskazała na siedzącego nieopodal Szymona. - Dzisiaj przejdiesz test. Zabijesz mnie, koteczko.

- Słucham?!

Może nawet przez chwilę chciała zachować powagę, dla podkreślenia tego, co się działo i w ogóle. Ale to było lekkie przegięcie. Takie mocne, niemające nic wspólnego z milusim campem przegięcie! Spodziewała się nawet deszczu meteorów, kolejnej Próby Bólu czy czegokolwiek podobnego, ale nie tego! Cholera jasna!

- Nie masz wyboru. Albo ty mnie, albo ja ciebie.

I wtedy jej Nauczycielka rzuciła się na nią z obnażonymi pazurami.

## 14.

WYLECZYŁ JĄ W NAJBARDZIEJ BOLESNY SPOSÓB, ZAPĘDZAJĄC NA SAMO DNO PIEKIEŁ, by następnie osłodzić zadany ból pieśzcotami, o jakich do niedawna czytała jedynie w romansidłach. Zasnęła otulona jego ciałem, zmęczona palącym uzdrowieniem, zmęczona tkwieniem w łóżku i niemocą poruszania się, zmęczona cierpieniem. Nie spała tak dobrze od czternastego roku życia, od kiedy ciało Daniela pokryły krwawe Znaki. Szymon przytulił ją mocno, zamykając w swoich ramionach, z nosem zanurzonym u nasady szyi. Ostatnim, co pamiętała, to jego dłoń wyrysowująca delikatnie wzory na jej plecach i cichy, głęboki tembr szepczącego głosu. Co mówił - nie słyszała, ale też i to nie było najważniejsze.

Same określenia, jakimi mózg Lei opisywał tamten wieczór, przyparwiały ją o metaforyczne mdłości. Ociekały wręcz stereotypowo frazeologiczną słodkością, jak na jej gust - za dużą. Ale wtedy o tym wszystkim nie myślała, odpływając powoli w słodką nicość, odprężając się, wyłączając.

Obudziły ją zbyt intensywne promienie słoneczne. Przeciągnęła się wypoczęta, lekka niczym piórko. Kiedy ostatni raz wstawiała bez poczucia żalu, że opuszcza krainę marzeń sennych? Chyba nigdy. Zdecydowanie nigdy. Wtuliła się w leżące obok niej ciało, zadowolona. Przywitał ją cichy śmiech, który poczuła na własnej skórze, silniejszy uścisk ramion, delikatny pocałunek złożony tuż pod uchem. Och, rozmruczała się jak pierwszogatunkowa kotka.

- Wyspana? - Odpowiedziała bliżej nieartykułowanym, potwierdzającym dźwiękiem. - Jak rany?

- Wrażliwe.

- Przejdzie.

Cudowne uczucie być tak zaplątaną w czyjeś ramiona, czuć na skórze ciepło drugiego ciała, bicie drugiego serca. Mogłaby tak trwać chyba przez całą wieczność, albo i dłużej. Kawałek nieba, który spadł jej (dosłownie!) na głowę (no, może nie aż tak dosłownie, ale blisko). Jej obrońca, mężczyzna, który przez ostatni tydzień odgrywał rolę uważnej i przykładowej pielęgniarki. Ciekawa była, ile osób zdobyłoby się na codzienne przemywanie wszystkich ran Jej Wysokości Mielonki.

Chyba znowu odpłynęła w sen, ale nie była do końca pewna. Śniło jej się, a może tylko wydawało, że ten nieziemsko przystojny, niebezpieczny facet bardzo delikatnie rozmasowuje jej sztywne i wciąż bolesne ścięgna pleców i ramion. Nawet jeśli to był tylko sen - nie zamierzała odmawiać

sobie choćby tak przelotnej przyjemności.

Do rzeczywistości przywołały ją ruchy tektoniczne materaca. Sapnęła niezadowolona, ale nie oponowała, gdy duże dłonie Szymona ustawiły jej rozspane ciało w pozycji siedzącej. Chyba dopiero ta zmiana pozycji połączona z siłą przyciągania rozbudziły pęcherz. Wygramoliła się spomiędzy kołdry, poduszek i prześcieradła, wciąż upačkanych w wielu miejscach krwią i innymi płynami, których naprawdę nie chciała nazywać. Zanim zdążyła zrobić choćby jeden krok, Szymon złapał ją za rękę i poprowadził w stronę łazienki. To bardzo szybko przebudziło wciąż ospały umysł. Chciała się wyrwać, ale jej nie pozwolił. Wyklócić, ale na to również nie pozwolił.

- To mój przywilej, Leo.

No i jak miała stawić takim słowom opór? No jak?!

Opierała się plecami o framugę łazienkowych drzwi, z rękoma założonymi na piersiach, całą sobą sugerując, jak bardzo jest niezadowolona z tak łatwej przegranej. Szymon nawet na nią nie spojrzał, kiedy kręcił się po sporych rozmiarów wygodnej łazience (pierwszy raz, gdy ją tu przyprowadził, miała ochotę paść na podłogę i przytulić się do tego cudownego pomieszczenia). Czyżby zaczynała mu przeszkadzać jej obecność? Może potrzebował bezbronnej kobietki, a całkiem sprawna Rządzona już go nie zadowalała?

Obserwowała, jak napuszcza wody do stojącej pośrodku brązowo-wisniowego pomieszczenia wanny, na tyle dużej, by mogła pomieścić dwie osoby. Ile kobiet już tu przyprowadził? Ile zaznało tej troski? Ile ciał oglądały te bezdenne czarne oczy? Oczy, które sprawiały, że zaczynała myśleć o namiętnościach skrywanych w mrokach sypialń, zbyt gorących, zbyt szalonych, by mogły ujrzeć światło dzienne. Jego ostre, wyraźne rysy twarzy, tak często opisywane jako pełne okrucieństwa, sprawiały, że miała ochotę owinąć się wokół jego ciała, całować te wszystkie ostre kąty, wąskie usta, kąciki migdałowatych oczu... Ale na pewno przed nią były inne. Pomimo groźby przemocy, która okalała go niczym perfumy, musiał się podobać kobietom.

Ściągnęła brwi. Nie mogła mieć mu za złe tego, że wcześniej grzał się w objęciach innych ciał. Że szukał kogoś, kim mógł się zająć. Na wszystkie świętości, gdyby nie była wtedy bliska śmierci i na dodatek rozdrażniona absurdalnością zajścia, nigdy nie ugięłaby przed nim swojej woli. Szybciej wyszczerzyłaby zęby, zadarła ogon i z wielką gracją uciekła, gdzie pieprz rośnie. Tak, nadal ją przerażał, ale już nie tak obezwładniająco. Wszystkie szeptane o nim opowieści przesuwają się przez jej myśli jak aksamit, mrużąc ciche historie o horrorach, których bali się wychowankowie Obozów. A nie obawiali się wielu, z większością w końcu zostali oswojeni wcześniej i efektywnie.

Patrzyła na plecy Szymona, na wyraźnie zarysowujące się pod cienką przylegającą koszulką mięśnie - nie wyglądał jak cała reszta zaokrąglonych, lansowanych na plakatach chłopców, ale to jego określiłaby szybciej jako



silnego i groźnego. Nawet jednak ten widok nie zagłuszył szumu stada wściekłych os w jej umyśle, nieposkromionego niczym podejrzenia co do motywacji, jaką się kierował, składając ofertę Przywiązania. Jakim cudem znalazł się wówczas w tym lesie, gdy w pobliżu nie było nikogo poza półdiotami? Tam nie powinno było być nikogo, instynktownie wybierała drogę, która zapewniała najlepszy teren do walki, przyczajenia, polowania.

Kiedy Szymon jej nie dotykał, zdrowy rozsądek zdawał się wznawiać swoją pracę (miło z jego strony, swoją drogą). Opadały opary pożądania, stężenie hormonów we krwi się zmniejszało, tworząc nagle miejsce dla refleksji, analizy i wątpliwości. Dużej ilości wątpliwości. Czymkolwiek było to całe Przywiązanie, uczyniło z Szymona jakąś cholerną kocimiętkę. Przez to stawał się jeszcze większym zagrożeniem dla jej jedności i spójności.

- Nie zrobię ci krzywdy, Leo - westchnął, opierając się ciężko o krawędź wanny, rozpraszająco wygodnej wanny pełnej parującej wody. - Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

Tylko przez moment zastanawiała się, czy udzielić prawdziwej odpowiedzi, czy nie. Możliwe zyski ze szczerości przewyższyły potencjalne zagrożenia.

- Czemu miałabym? - zapytała cicho. - Na Obozach opowiadają makabryczne legendy o Czarnookim Szymonie. Nie patrzyłeś nawet na mnie-mnie, zawsze obok albo przez. A teraz...

- Kotku... - Szymon roześmiał się cicho, gardłowo i chociaż stał dwa metry od niej, miała wrażenie, że ten śmiech otula jej ciało. - Patrzyłem na ciebie każdego dnia od naszego pierwszego spotkania. Mówiłem, że natura stworzyła mnie dla ciebie. Na twojej skórze nie krwawiły jeszcze Znaki, ale były w tobie. Fascynowałaś mnie. Przyprawiałaś o szaleństwo. Dla twojego bezpieczeństwa Daniela nie mogła się o tym dowiedzieć. Widzisz, wybrała nas sobie, mnie i Jeremiasza, mieliśmy stanowić podstawę jej władzy, osobisty harem. Wykorzystała najstarszą kobietą technikę zdobywania i utrzymania pozycji. Oficjalnie noszę pięć Znaków, co czyni mnie silniejszym od jej kochanka. Na dodatek, nie nosząc Znaku *Miecza*, kilkakrotnie go upokorzyłem, pokonując Jeremiasza w pojedynku. Jak myślisz, skoro nigdy nie byłem nią zainteresowany w żaden sposób, dlaczego przychodziłem na te spotkania?

- Kłamiesz - wydusiła Lea przez nieoczekiwanie wyschnięte gardło. - Na tych cholernych spotkaniach z Danielą byłam sama, na uboczu, niewidzialna dla cudownych Przyjaciół Danieli z Krainy Czarów. Na bogów, ciągała mnie za sobą, aby móc się napawać klęską, której nie mogłam nawet fizycznie ponieść! Cieszyło ją samo paradowanie mi przed nosem z tymi dwoma boskimi istotami u boku! Na wszystkie świętości, czy ty chociaż pamiętasz, jak kobiety padały wam wtedy do stóp?! Nie mam pojęcia, po jaką cholere tak długo to znosiłam!

- Ale ja wiem - rzucił kwaśno Szymon. - Przychodziłaś dla Jeremiasza. - Dotarła do niej fala frustracji i rozgoryczenia, jakiej nigdy się nie spodziewała z jego strony. - Anielski Chłopiec. Cherub. Boski Mężczyzna.

Spełnienie Pragnień. Nie ma kobiety, która nie użyłaby choć jednego z tych określeń do jego opisu. Och, on przecież nie może się nie podobać! Jego maska ciepła, oddania i oferowanego bezpieczeństwa jest perfekcyjna. Tak doskonale ukrywa to, kim i czym jest. Nie zapominaj, że kocha Danielę bardziej niż cokolwiek na tym świecie. A twoja kuzynka nie jest emanacją dobroci i miłosierdzia.

- Wiem. Wiem, czym jest, do cholery. Widziałam, jak na mnie patrzył na Próbie Bólu. Widziałam, jak głaskał ją po ramionach, kiedy innym wylewano na ręce gorący olej, gdy odcinano kawałki kończyn, widziałam, jak oblizywał wargi, gdy wyszarpywali kawałki mięsa. To był gwóźdź do trumny wszelkich urojeń, jakie mogłam jeszcze wtedy mieć. Szymon, do cholery, mój świat stał na szklanych nogach, zanim to Cudowne Dziecko objawiło Znaki! Runął w przepaść samych piekieł! Byłam i nadal jestem Rozczarowaniem, popychadłem dla całej Rodziny, ale wtedy stałam się jeszcze większą zadrą w ich oku, zakłóceniem perfekcyjnego obrazka!

Osunęła się na podłogę. Musiała zamknąć oczy, aby się nie rozplakać. Pozwolił jej mówić, pozwolił jej wszystko wykrzyczeć. Na pogańskie boginie, chciał wiedzieć, co się wtedy z nią działo. Co myślała, przez co przechodziła... Poczowała się winna. Niesamowicie winna. Za Jeremiasza, za swoją zazdrość, za wątpliwości. Było w niej tak wiele uczuć, z którymi nigdy wcześniej nie musiała się mierzyć. Nie umiała sobie z nimi poradzić. Było ich za dużo, a ona znajdowała się za daleko od swoich bezpiecznych murów.

- Lea...

Zagarnął ją w ramiona, przyciągnął, mamrocząc cicho bliżej niezrozumiałe słowa. Skoncentrowała się na samym dźwięku jego głosu, na wypowiedzianych przez niego okrągłych, łagodnych głoskach. Pozwoliła, aby zalała ją fala spokoju, jaką ze sobą przynosił, aby wszystkie zmysły wypełniła obecność i istota Szymona. Wdychała jego zapach, marząc o rzeczach, o które bała się nawet prosić. Rozsądek podpowiadał, że od kiedy znalazła się w Krainie Czarów, nie miała co liczyć na to, by ktoś ją w taki sposób obdarował.

Była tylko cennym narzędziem, niczym więcej. Jeśli wypuści z rąk swoje osłony - rozpadnie się na kawałki. Nie wytrzyma więcej odrzucenia, szyderstw, bólu, zwłaszcza od kogoś, komu zdecydowała się zaufać. A jemu chciała ufać. Wszystkie instynkty wręcz wrzeszczały, żeby przestała być tak uparcie głupia. Dwór Jej Byłej Wysokości Mielonki pragnął zatrzymać przy sobie Pierwszego Rycerza Wybawcę. Lea też tego chciała.

- Wiem, Leo. - W końcu dotarły do niej jakieś niosące sens słowa. - Obaj wiedzieliśmy, że Daniela zapraszała cię tylko po to, aby móc się nad tobą znęcać. Jeremiasz był tym bardziej zachwycony, im więcej zadała ci bólu... Naprawdę nazywałaś mnie w myślach boską istotą? - Szymon roześmiał się cicho, powtarzając słowa, którym bezmyślnie pozwoliła prześlizgnąć się przez usta.

Wyrzuciła z siebie coś bliżej niezidentyfikowanego, co miało przekazać poziom jej zawstydzenia, a jednocześnie potwierdzenie. Gdy wpadała we

wściekłość, zawsze mówiła za dużo, zapominała o zabezpieczeniu swoich tyłów i ciągłości egzystencji. Potem zwykle przemawiała sobie do rozsądku w bezpiecznej przestrzeni łazienki, grożąc, że w końcu dla własnego dobra pozbawi się języka. Migowym włada mniej osób, powinien być bezpieczniejszy w jej przypadku. Zdecydowanie. Głupota głupotą poganiana, po prostu. Czas wreszcie zrozumieć, że więcej zyska, gdy zamknie paszczkę. Zawsze była impulsywna, ale od czasu, gdy trafiła na Obozy, ten stan się jedynie pogorszył. Być może dlatego, że tam musiała cały czas się kontrolować.

- Patrzyłaś na mnie, koteczko? - Schowała twarz u nasady jego szyi, czując aż nadto wyraźnie, że jej skóra przybiera intensywny karminowy odcień. - Naprawdę mnie widziałaś?

- Nie zacieszaj się tak - wymamrotała. - *You scared the shit out of me*<sup>[1]</sup>.

- Jeden język, koteczku. Nasz ojczysty jest prześliczny, szkoda go nie używać. Bałaś się? - Potwierdziła niechętnie. - Dlaczego?

Bardzo mądre pytanie. Naprawdę superinteligentne. Jak niby miała udzielić na nie odpowiedzi, hm? Dlaczego się boisz? Bo coś sprawia, że się boję. Coś, co włącza wszystkie... Aaaa, właśnie, może tak.

- Włączały mi się wszystkie alarmy - westchnęła i odetchnęła z ulgą. - Wszystkie-wszystkie. Bardzo cenię swoją intuicję, choć czasem miewa swoje *laps in...* ee... pomyłki w ocenie. Na swoją obronę mam tylko hormony i naprawdę poważny stan depresyjny. To co z tą wanną?...

Roześmiał się, wydając znowu te niesamowite dźwięki, które rozchodziły się rezonansem po jej całym ciele. Przez moment Lea zaczęła nawet podejrzewać, że miesiąc miodowy zapoczątkowany tym nowym mistycznym związkiem się kończył, co by tłumaczyło nagły atak lęków i wątpliwości. I większe prawdopodobieństwo wybuchów złości oraz chęć siania przemocy, choćby tylko werbalnej. Gdy jednak wylądowała w ramionach Szymona, to już nie było takie oczywiste. Wyplątała się z jego ciała (kiedy zawinął wokół niej też nogi, nie miała pojęcia).

- Jesteś jak narkotyk - wymruczała pod nosem, prostując się i grzecznie tłumacząc jedną ze swoich ulubionych fraz na polski.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła rozpinąć koszulę. Nie do końca wiedziała, w którym dokładnie momencie zapomniała o swoim poczuciu wstydu. Być może wówczas, gdy przestała przypominać mielone mięsko... Albo po prostu zaczęła traktować obecność Szymona jako coś stałego i normalnego. Jej rozsądek nawet się nie włączył, nie udzielił żadnego długiego pouczenia na temat tego, że powinna być ostrożna, zadbać o swoją skórę, zwłaszcza jeśli przebywała w jednym pomieszczeniu z kimś, kto do pewnego stopnia dzierżył nad nią władzę...

Zawahała się przy piątym guziku. No dobra, jakoś przeszła do porządku dziennego nad faktem, iż widział ją nago, kiedy była ranna, kiedy ją leczył, ale! Ale!!! Teraz z własnej nieprzymuszonej woli zamierzała mu pokazać, jak ją bogowie stworzyli, bez najmniejszej, rozsądnej wymówki... A on siedział

tak po prostu na wykafelkowanej podłodze i patrzył. Czują jego wzrok, skupiony w całości na niej, pełen intensywnej, czysto samczej uwagi. Patrzył na nią tak, jak drapieżnik może patrzeć na ofiarę. Pełen głodu rzeczy, które oczekiwał, że od niej dostanie. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. I nigdy nikomu nie chciała podarować tyle, ile zamierzała ofiarować jemu.

Bogowie, nawet w jej głowie te linijki brzmiały tak... tak... tak... romansidłowato. Ale, *for everything that's sacred*<sup>[2]</sup>, właśnie coś takiego czuła. Szymon sprawiał, że była gotowa złożyć w jego rękach swoje życie i zdrowie, była gotowa po raz pierwszy zaufać komuś poza Rodzicami. A może nawet bardziej. O wiele bardziej. I tego się w tym wszystkim tak strasznie bała.

Ale bojąc się, niczego się nie dowie.

Pokonać wroga można tylko poprzez stawienie mu czoła.

Spojrzała na Szymona znad ramienia, unosząc lekko brew. *A game of dare*<sup>[3]</sup>. Czyżby była za duża na takie zagrywki? Może. Na chłopców powiedzenie „nie możesz” czy „nie odważysz się” działało jak płachta na byka. Wstał bez słowa, położył dłonie na jej ramionach. Oddychał płycej niż normalnie. Zanurzył nos w jej włosach (wciąż spoconych i skołtunionych), po czym obrócił ją ku sobie. Chyba nawet chciała coś powiedzieć, zapewne o włosach, ale wyraz jego oczu sprawił, że wszelkie słowa uciekły w cholerę. Taki wzrok literatura przedmiotu nazywała „obietującym mroczne rozkosze”, „czysto męskim” czy też „ukazującym prymitywną, seksualną żądzę”. Nie odwróciła się.

Spuścił wzrok na częściowo rozpiętą koszulę. Podążyła za jego spojrzeniem. Wbrew sobie oblała się rumieńcem. Bładą skórę dekoltu ozdobił intensywny różowawy kolor. Uśmiechnął się. Jego długie sprawne palce powoli wznowiły rozpinanie guzików, co pewien czas przypadkowo muskając ciało. Z fascynacją i trwogą patrzyła na twarz Szymona, na uwagę, jaką jej poświęcał. Ze wszystkich sił starała się nie rejestrować tego, że docierały do niej jasne, emocjonalne sygnały świadczące o tym, jak cieszyła go cała ta sytuacja.

Nie była już rekonwalescentką. Wiedziała, jak to się skończy. Na bogów, jeśli on przerwie, to ona ucieknie na drugi koniec globu.

---

[1] *You scared the shit out of me* - tu: przerażałeś mnie.

[2] *For everything that's sacred* - tu: na wszystko, co święte.

[3] *A game of dare* - tu: gra w wyzwania.

## 15.

Wywleczono ją z piwnicy w wyjątkowo niedelikatny sposób. Naprawdę zdążyła się już przyzwyczaić do tych miłych zapachów, wiecznego zimna. Zaczęła nawet rozważać, czy wydłużające się podwieszenie sprawi, że będzie wyższa. Miała dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zrobiła nawet jakieś wyliczenia, choć o ich dokładności mogła tylko mniemać – słabo liczyła w pamięci. Jej bufor pamięciowy miał zdecydowanie za małą pojemność, jeśli chodziło o działania na cyferkach. Podobno można to było trenować, ale zawsze sądziła, że to zbyt upierdliwe. Tak czy inaczej, teraz wleczono ją po kamiennej podłodze i kamiennych schodach, w dość przyjemnym dla jej oczu mroku (osobiście włączyłaby wszystkie światła, dla lepszego efektu). Dziewięciu stopniach, jeśli jej kolana uderzyły o wszystkie, a zapewne ci, którzy ją wlekli, o to zadbali. Taka uprzejmość z ich strony. Naprawdę, panowie, nie trzeba było. Dama i tak jest zachwycona. Nie potrzebowała żadnych wskazówek ani transparentów czy banerów, wiedziała, co się właśnie działo.

Przedstawienie czas zacząć.

Trzymali ją w celi zbyt długo. Nawet nie miała siły się wystraszyć. Rozszarpać jakieś gardła, zanurzyć w nich kły – tak, na to z pewnością znalazłaby dużo, dużo siły. Ale na strach? Nieee.

Dopiero na końcu dość długiego korytarza czekało na nią to oślepiające światło. Posadzili ją na krześle, przywiązali łańcuchami. Znowu przywiązanie i znowu łańcuchy. Na wszystkie świętości, jakie to wszystko było już nudne i powtarzalne. Teraz będzie albo najpierw przemowa, a później ból, albo najpierw ból, a potem przemowa – druga opcja niosła ze sobą pewne ryzyko (nie każdy doczeka przemowy), ale zdecydowanie potęgowała efekt końcowy.

Ktoś złapał ją za włosy, podniósł głowę ku ostremu światłu, a potem uderzył w twarz. Czyli najpierw ból. Ryzykowne. Lea liczyła uderzenia – dzięki temu zmuszała umysł do skupienia, a jednocześnie dokonywała magicznego triku rozłączenia go z ciałem. Planowanie i ból nie szły w parze. To, czego na pewno nauczyły ją Obozy, to właśnie ta niewielka mentalna sztuczka. Krew wypełniła jej usta, wypłynęła spod warg.

Pięćdziesiąt uderzeń, a potem podniesienie głowy. Tym razem światło nie było już tak ostre, padało na nią przytłumione zza czerwonej mgiełki. Naprzeciw, na stole, siedział Jeremiasz. Uśmiechał się jak niegdyś Daniela podczas Próby Bólu. Lea dość się nasłuchiwała o Jeremiaszu od Szymona, aby rozumieć, że nie był ani anielski, ani cudowny. Piękny w swojej nieskazitelnosci, w pełni zaplanowany i wyreżyserowany – idealne

dopełnienie Cudownego Dziecka. Zjawiskowy, efemeryczny i fałszywy do szpiku kości. Daniela po prostu nie mogła go nie pokochać. Jak mawiał Jung, podobieństwa się przyciągają. Ciekawe, o czym rozmawiali z Danielą na randkach. Może o nowych technikach tortur? Lea nie mogła powstrzymać leniwego, złośliwego uśmiechu wpływającego na usta. Zabić jej nie zabiją, a z bólem potrafiła sobie poradzić. Wiwat system szkolnictwa Krainy Czarów! O! jea.

- Co, twoim zdaniem, jest takie zabawne? - spytał aksamitnym, przyjemnym dla ucha głosem, spokojny, opanowany, ucieleśnienie męskiego wdzięku i gracji.

Gdy stawał się tak pozornie przyjemny i opanowany, mógł sprawiać, że kobiety wręcz rzucały mu się do stóp. Tak, kochanie, ty też miałaś na to ochotę. Owszem, wiem, ale przejrzałam na oczy. Albo oczy przejrzały same i przekazały rozsądkowi odpowiednie wnioski. Tak czy inaczej, wszystkie elementy zrozumiały, że Jeremiasz był błędem w ocenie sytuacji, a także zwały winę na szalejące hormony. Hormony w tej dyskusji udziału nie brały.

- Zadałem ci pytanie, suko.

Nie. Warczeć nie umiał. Zabrzmiało to raczej jak powarkiwanie małego szczeniaczka. Na wszystkie świętości, może i był zimnym sukinsynem i jednym z bardziej pomysłowych sadystów w Zgromadzeniu, ale nigdy nie opanował zastraszania przeciwnika głosem. To tak, jakby próbował ją zwymyślać po francusku. No błagam.

Wypluła krew.

- Nie ten gatunek.

Nie zauważyła, aby poruszył choćby brwią, ale na jej twarz padł kolejny cios najętego kata i wywołał gwiazdki. Takie kreskówkowe, latające wokół głowy. Najwidoczniej jednak miała jakieś samobójcze tendencje. Żeby w takich opałach jej własny język prowadził ją ku zatłuczeniu lub zadźganiu na śmierć? Chyba nie dostała w pakiecie instynktu przetrwania, a może dali jej wadliwy? Mniejsza.

Jeremiasz był zdecydowanie niezadowolony z osiągniętego uwięzieniem efektu. Och, już by mu pokazała, jaki osiągnął efekt, gdyby ją tylko odczepili od tego pieprzonego mebla. Spodobałoby mu się. Lea nie miała aż takiej fantazji w zadawaniu cierpienia, ale dla niego postarałaby się wyjątkowo. No i na pewno mu stawał na widok krwi, prawda? Sadysta seksualny! Ha! Tak, ta myśl zdecydowanie się jej podobała.

- Szczegóły. I to dziwka, i to dziwka. Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Naprawdę ją o to pytał? Co to, pokaz pod tytułem „Jak przeprowadzać przesłuchanie”? W porządku, skoro tak chciał grać, niech będzie. Sam się prosił.

- Jakaś banda nieudaczników - splunęła - wbiła mi w dupę strzałkę usypiającą. Inaczej ozdobiliby jelitami pobliskie płoty. - Znowu splunięcie.

Nie było najgorzej, nie krwawiła już tak bardzo albo nauczyła się mówić z posoką wypełniającą usta. A może po prostu nie miała sił, by zwracać na to

uwagę. Zwłaszcza że całą resztkę powinna poświęcić na rzeczy ważniejsze. Jej stan nie nadawał się nawet jako dywersja. Patrz, mam śliczny krwotoczek. Prawda, że urodziwy? Od Diora. Przewróciła oczami w reakcji na własne myśli. I to zanim zorientowała się, że kat odczyta to jako kpinę z Cherubina. Kolejne uderzenie nie trafiło jednak w twarz, tym razem przepona przywitała się z pięścią oprawcy. Witamy, witamy. W cenę herbatki wliczamy ciasteczko. Urgh. Złośliwe komentarze zawsze pomagały, Freud by to pewnie nazwał mechanizmem obronnym... choć zapewne dorzuciłby też coś o Erosie, Tanatosie, libido, penisach i traumie z dzieciństwa, więc może lepiej go w to wszystko nie mieszać.

- Nie o to pytałem - warknął, coraz bardziej zirytowany. - Okaż trochę szacunku, szmato. Ode mnie zależy, jak bardzo będzie bolało.

No dobrze. Zachowała się może nieprofesjonalnie i nierozsądnie, ale ten komentarz był po prostu śmieszny. Nie mogła się nie roześmiać. Przeszła przez Obozy Zgromadzeń, przez ich pieprzoną Próbę Bólu i konsekwencje leczenia pogruchootanych rąk, a potem szkolenie, na które wysłał ją Szymon. Do tego doszły lata upokarzania psychicznego przez Babkę i Danielę - razem, osobno czy w koncercie z Wujkiem i Ciotką. Bolało? Książę z Bajki w życiu nie odczuł takiego bólu na sobie, skąd on w ogóle mógł wiedzieć, o czym mówi?

- To nie ma sensu - usłyszała po chwili jego zde gustowany ton. - Porozmawiamy jutro. Podwieście ją na belce, poziomo.

Oooo! Zmiana pozycji! Cudownie! Kolejny atak histerycznego śmiechu przejął nad nią pełną kontrolę, aż brzuch ją rozboleł. Po wyjściu Jeremiasza rozboleł jeszcze bardziej, gdy kat próbował Leę uspokoić. Pięścią. Słabo mu szło, wiwat histerie i ich cudowne moce! Buahaha!

Czy była w stanie spać podwieszona do wielkiej poziomej belki za lewą rękę i nogę? Oczywiście, że tak. Zwłaszcza jeśli mogła prawe kończyny zaplątać odpowiednio w łańcuchy. Sztuczka polegała na tym, aby sprytnie się w to wszystko wpleść już na samym początku wiszenia, nim zaburzone nieprawidłową pozycją krążenie zacznie płać figle. Jeremiasz, niestety, okazał się inteligentniejszy, niż by się to jej w tej chwili podobało - kajdany spuszczone z belki były umieszczone za nisko, aby mogła się na ten kawał drewna wdrapać. A próbowała. Spanie na wysoko położonych płaskich powierzchniach, zwłaszcza drzewnych lub niegdyś drzewnych, było tym, co tygryski lubiły najbardziej. Śnieżne panterki też, w końcu w nie też się czasem *Zmieniała*. Zaplątanie na ten moment musiało wystarczyć.

Czy była w stanie oprychać i obrzucić przekleństwami kogoś, kto budził ją, gdy właśnie oddawała się przyjemnej kąpieli w chłodnej rzece? Oczywiście, że tak. Już dawno nie wyrzuciła z siebie tylu obelżywych słów naraz, jak w chwili, gdy ktoś wylał wiadro lodowatej wody na jej skąpo odziane ciało. Brudne ciało, ale to nadal nie usprawiedliwiało przerwania tak sympatycznych marzeń sennych. Kat z pomocnikiem rozkuli kajdany i pozwolili jej z gracją słonia spaść na kamienną, brudną od jej własnych

wydzielin posadzkę. Najwidoczniej Jeremiasz miał odporniejszy węch, niż spodziewałaby się po Księżciu z Bajki. Z drugiej strony dodatkowe siniaki i obicie już istniejących stłuczeń na pewno przydały więcej cierpień więźniowi, a takich jak ona łamano przecież bólem. Tak, to było idiotyczne, ale też Zgromadzenia miawały dość genialne epizody totalnego kretynizmu.

Tym razem przymocowano jej kończyny tak, aby ciało przypominało literę X – ręce pod sufitem, stopy przy podłodze, łańcuchy ładnie napięte. Jakaś część umysłu Lei wygłosiła krótki wykład, że chociaż teraz sam proces przytwierdzania więźnia został przeprowadzony profesjonalnie, lepiej by ją było rozciągnąć jak na pajęczynce, żeby stópki nie dotykały ziemi. Więcej bólu i większy dyskomfort. Lepsza taktyka. Wymierzyła mentalnego kopniaka przemądrzałej części swojego mózgu.

Pomocnik kata chlusnął w nią wiadrem wody, a następnie sięgnął po dwa drażki z czymś kudłatym na końcu. Spod powiek napuchniętych od wczorajszego (chyba wczorajszego) bicia miała nadal dobry widok na te dziwne cosie. Wystający z nich kabel podsunął Lei rozwiązanie tej niewielkiej zagadki. Elektrowstrząsy! *Oh, goodie!*<sup>[1]</sup>

- Tak nisko upadliście? – zadrwiła. – Zero szacunku dla tradycji. Nowoczesna technologia w rękach Rządzonych? Tsk, tsk.

Byli dobrymi sługusami. Mieli twarze bez wyrazu, bliźniaczo przeciętne, odpowiedni wzrost, szerokie ramiona i obowiązkowe czarne szmatki – bluzki oraz wojskowe spodnie. Byli nijacy jak meble w pokoju. Idealne przydupasy. Żaden się nie odezwał. Kat po prostu rozerwał jej bluzkę, pomocnik ponownie oblał lodowatą wodą, aby przewodyr całej zabawy mógł połaskotać żebra ofiary kudłatymi końcówkami.

Boski Cherub zaszczycił ich swoją zacną, jaśniejącą obecnością po dość dużej dawce elektryczności. Zawsze ciekawiło ją, jak się po czymś takim zachowują włosy. Elektryzują się? A może stają dęba jakby „piorun w miotłę strzelił”? Na widok Jeremiasza obaj mężczyźni skłonili się i odsunęli w cień. Dobrze wytresowane pieski.

- Umieją aportować? – spytała cicho, obserwując Jeremiasza dyskretnie, nie siląc się nawet na uniesienie głowy.

- Sądzisz, że jesteś zabawna, wywłoko? Jesteś taka sama jak oni. Każdy upór można złamać. Twój również.

- Spróbować nie zaszkodzi – zamruczała rozbawiona. – Cztery lata Obozów nie dały rady. Sądzisz, że jesteś lepszy, chłopcze?

Nie odpowiedział. Wyciągnął spod kurtki sporej wielkości zwitek skóry z drobnymi, srebrnymi elementami zwisającymi na końcu. Czy to był jej szczęśliwy dzień, czy nie? Och, wszechmocy, elektrowstrząsy, a teraz bat! Nie, no niech ją prawdziwy piorun trzaśnie, jeśli nie serwowano dzisiaj wszystkich najsmaczniejszych kąsków! Gdyby nie fakt, że na mieszkańców Krainy Czarów nie działały narkotyki, zapewne już dawno przypominałaby poduszeczkę na igiełki.

- W końcu coś z naszej bajki? – zadrwiła.



Przechylił głowę lekko na bok, w jakimś dziwnym geście. Po chwili jego prześliczną twarz rozciął szeroki, okrutny uśmiech. Srebrne końcówki bata na moment zawisły w powietrzu, odbijając światło świetłówki, aby zakończyć swoją podróż na jej skórze, wbijając się w ciało. Zadrżała. Bolało.

- Poczułaś? - zamruczał cicho. - Cudownie. Pobawisz się teraz ze mną. Pokażę ci świat, o jakim nawet nie śniłaś, pieseczku.

Leżała na brzuchu, przykuta do podłogi za wszystkie kończyny i szyję. Ciało bolało i krwawiło. Nie miała pojęcia, że ukochany Daniela jest aż tak zdolny w kwestii posługiwania się batem. Wiedział, jak uderzyć, gdzie, kiedy, nie potrzebował nawet wiader z wodą, by ocucić swoją ofiarę. Balansował bólem z wprawą mistrza sztuki i wyraźnie czerpał z tego przyjemność, choć pewnie gdyby wrzeszczała, byłby bardziej zachwycony. Ćwiczył ją prawie godzinę, udowadniając tym samym, że umie czerpać ze Znak *Miecza* w sposób nie do końca przewidziany, ale podobnie efektywny.

Przespała większość czasu, który spędziła w tej wybitnie mało wygodnej pozycji. W pozostałych chwilach starała się nie myśleć o tym, jak zimne są te pieprzone kamienie. O reszcie bóleści też nie myślała. Odwracanie uwagi było w tym momencie jedyną możliwą taktyką. Pocieszała się tym, że już raczej pęcherz nie będzie domagał się uwagi. Wprawdzie ją napoili, tudzież część wody, którą na nią wylewano, też trafiła do gardła, ale straciła zbyt dużo krwi, aby ciało mogło sobie pozwolić na tak nieekonomiczną gospodarkę płynami. Przynajmniej taką miała nadzieję. Tak czy inaczej, leżenie na plecach we własnej zakrzepłej posoce nie było przyjemne. Jeremiasz znęcał się nad jej klatką piersiową, bokami, dekoltem, ale nie tradycyjnie nad plecami. Chciał widzieć jej twarz? Być może. Pewnie gdy się zabawiał z Daniellą, karmił swoją wyobraźnię podniecającymi wspomnieniami z ich małego *rendez-vous*.

Pieprzony sadysta. Widziała w jego oczach, jak bardzo podobał mu się ból, który zadawał. Te jego piękne anielskie oczy po prostu jaśniały dziecięcą radością. Wyglądał jak pięciolatek z ulubioną zabawką. Tyle że on był Rządzącym, Cherubem z Krainy Czarów i jego zabawki były trochę większe niż te przeznaczone dla pięciolatek. Powinna zostać zapakowana w kartonik z dołączonym znaczkiem 18+ w dużym czerwonym kółeczku. I dużą różową kokardą dla lepszego efektu. Bleee.

Usłyszała kroki za drzwiami. Ciche skrzypnięcie zapowiadało początek kolejnej sesji. Ta część jej umysłu, która przez cały czas trwania zabaw chłopców z jej ciałem wszystko analizowała i komentowała, ta sama, która nie dała się zastraszyć groźbami mentalnej przemocy, była wyraźnie zaciekawiona tym, co dla niej przygotowano w kolejnym akcie. Przed jej artystycznie spuchniętym i zapewne lekko sinawym nosem nie pojawiły się jednak buty katów. Nie były to nawet buty Jeremiasza. Chyba że nosił szpilki.

Cudowne Dziecko - Wejście Smoka.

---

[\[1\]](#) *Oh, goodie!* - tu: och, cudownie!

## 16.

CO STAŁO SIĘ PÓZNIJ, UMYŚŁ LEI SKOMPONOWAŁ W JAKIŚ DZIWAČNY KOLAŻ OBRAZÓW, doznań i mniej lub bardziej wyartykułowanych słów. Jeśli zastanawiała się przedtem, dlaczego Jeremiasz oszczędził jej plecy, teraz już wiedziała – zostawił kawałek dla swojej ukochanej. Okazało się, że gówniara ma jeszcze jakieś zdolności poza rujnowaniem życia wszystkim dokoła. Tym razem Lea nie usłyszała żadnej mówki, darowali sobie ten punkt programu, zapewne wiedzieli, że i tak niewiele by zapamiętała po tym, co urządziło Cudowne Dziecko. Lea nigdy nie spodziewała się, że szpilki mogą się okazać tak przydatnym narzędziem tortur... Mogą, sądząc po ilości nowych dziur w ciele, jakie zyskała. Nie traciła jednak krwi. Nieee, to by zakrawało o spartaczenie całego przedsięwzięcia. Daniela rozkazała Rządżonym zaaplikować maść tamującą krwotoki, dzięki czemu Lea leżała teraz na zimnej posadzce, pełna dziur, ale niedodająca nowego kolorytu do mozaiki na kamieniach.

Przebosko.

Znowu czekała. Jakie to było cholernie nudne! Bolesne? Nie. Chłód kamiennej podłogi łagodził cierpienie całkiem skutecznie. Gorzej było z głową i to w całym zakresie semantycznym tego stwierdzenia. Cudowne Dziecko miało najwidoczniej zbyt wielkie doświadczenie i zbyt dobre zaplecze teoretyczne, by wiedzieć, że uzyska lepszy efekt, jeśli nie odeśle swojej ofiary w słodką ciemność nieprzytomności.

Warknęła na pustą przestrzeń swojej celi. NUDNO!

Zamknęła oczy. Nadszedł czas na kolejną mentalną sztuczkę, której się nauczyła na Obozach. Pólsen, półmedytacja. Przynajmniej przestanie słuchać własnego jęczenia i marudzenia, które nawet ją potrafiły doprowadzić do szału, a to cholera była jej własna głowa! Cóż, zawsze uważała się za wybitną jednostkę, i to pod wieloma względami.

Śpiewała pod nosem, gdy Jeremiasz ćwiczył ją swoją kolejną zabawką. Pozwalało jej to zapanować nad oddechem i zdystansować się wobec bólu. Miała kiepski repertuar, a i głos pozostawiał wiele do życzenia, ale przynajmniej mogła się trochę poznęcać nad obecnymi w komnacie. Z drugiej strony śpiewanie „ain't afraid to die” nawet jej wydawało się dość zabawnym dobozem w tej sytuacji.

Kiedy Cherub nareszcie skończył, do komnaty wróciła Daniela, całą mową ciała zaznaczając, że przejmuje panowanie i łaskawie zezwala, aby już tu przebywający oddawali jej cześć. Ale tylko ostatecznie, bo jeszcze popsują jej humor. Jak zawsze wyglądała nienagannie, perfekcyjnie wyreżyserowana

(brakowało jej tylko lekkiej bryzy rozwiewającej włosy). Ze ślicznym, wyraźnym makijażem i fantazyjnie ułożonymi włosami wyglądała jak bogini. Długa błękitna suknia dzięki rozcięciu w okolicach biodra wyraźnie wydłużyła jej udekorowane wysokimi szpilkami nogi. Suka potrafiła tak się ubrać, że większość mężczyzn oglądała się za nią z zachwytem. Lea, jako przedstawicielka tej samej płci, potrafiła to docenić w klasycznie kobiecy sposób - zazdrością. Jeśli miałyby się w tym momencie porównać do kuzynki... Nie, lekko oszołomiony bólem umysł nie podsunął żadnej chwytliwej, złośliwej i dosadnej metafory. Ojeeej.

- Wyglądasz uroczo, kuzynko - zaszczebiotała Daniela, podchodząc blisko, zdecydowanie zbyt blisko. - Jak prawdziwa dama... ale śmierdzisz jak kloszard. Tsk. Panowie, damę należy umyć!

Wykonała coś na kształt zalotnego pirueciku, do złudzenia przypominając w tym Marilyn Monroe, i podeszła udekorować swoją osobą Jeremiasza. Puściła oczko do podwieszanej krewnej, a przydupasy wylały kilka wiader lodowatej wody na umęczone ciało Lei. Och tak, nie ma to jak delikatna pobudka dla śpiącej królowny. Bajki wciąż nie były po jej stronie.

- Od razu lepiej - wymruczała zalotnie Daniela. - Przynajmniej mniej śmierdzi.

- Wiesz - wydusiła Lea, pokonując szczykanie zębów - nawet jeśli uperfumujesz gównem, to ono nadal będzie tylko gównem.

- Mówisz o sobie, ślicznotko? - Gdyby jad zawarty w jej głosie mógł się zmaterializować, pływałiby w nim teraz.

- To nie ja wyglądam jak lalka na wybiegu.

Daniela wybuchnęła głośnym, okrutnie radosnym śmiechem. To nie była zwykła radość, raczej czyste zadowolenie zwiastujące cierpienia. Cierpienia Lei, naturalnie, nie Cudownego Dziecka. Może powinna była ugryźć się w język (z całą pewnością powinna), ale nie mogła sobie tego odmówić (jak zawsze zresztą).

- Jesteś taka urocza, kuzynko - stwierdziła Daniela słodkim, za słodkim, głosikiem. - Kiedy będziesz już moja, och, będziemy się cudownie razem bawić! We trójkę! Z taką odpornością na ból jesteś wręcz wymarzoną zwierzątkiem!

Skrzywiła się odruchowo na tę wzmiankę. Gdyby miała do wyboru gwiazdeczkę Zgromadzenia albo tę bandę przygłupów, która niegdyś dopadła ją w lesie, chyba jednak wybrałaby przygłupów. Nadmierny entuzjazm Cudownego Dziecka ranił jej sarkastyczną, zepsutą duszę. W takich chwilach zawsze miała ochotę sprawdzić, czy wszystkie zęby zostały na miejscu, czy wypadły na skutek przesłodzenia powietrza.

Uderzenie niewidzialnego bata przyszło bez najmniejszego ostrzeżenia. Dopiero po chwili komnatę wypełnił cichy świst. Powietrze uwięzło jej w gardle. To bolało, to bardzo bolało. Dziwka sięgnęła po jeden ze swoich Znaków. Jakżeby inaczej, jeszcze połamałaby sobie paznokcie. Niedobrze, niedobrze. Ilość możliwości zadawania bólu po stronie torturujących wzrosła makabrycznie. Życie Lei miało właśnie nabrać nowych interesujących barw.

Ostatni raz narzekała na nudę. Ostatni, kurwa.

Tym razem nie śpiewała, nie liczyła, nie śmiała się – była zbyt słaba, aby sprzeciwić się cierpieniom w sposób inny niż uparte milczenie. Gdzieś pomiędzy uderzeniami zaczęła rozważać, czy na pewno warto tak kurczowo trzymać się przetrwania. Zaraz za tą myślą pojawiło się wspomnienie Szymona.

Warto.

Jeśli to wytrzyma – zemści się. I żadne, absolutnie żadne argumenty natury politycznej jej nie powstrzymają. Tym bardziej rodzinne. Babka z Wujciem mogą się wypchać strzępami, które Lea pozostawi z ich ukochanego Cudownego Dziecka. Zacisnęła mocniej dłonie na łańcuchach, aby stłumić cisnące się na usta groźby. Jeśli wypuści choć jedno słowo, nie będzie w stanie zachować kontroli nad głosem. Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko przyjdzie czas.

Daniela wydała bliżej nieokreślony dźwięk zawodu. Jeśli sądziła, że doprowadzi Leę do płaczu, była w błędzie. Talent Jeremiasza do zadawania bólu był o wiele większy, a nawet on nie był w stanie wycisnąć z Lei żadnej porządnej reakcji. Wręcz przeciwnie, Lea zdawała się dostarczać mu jedynie nieodpowiednich podniet. Bo przecież gdyby chodziło o śmiech i piosenki, spotkaliby się gdzieś w kawiarence, nie zaś w komnacie tortur, czyż nie? Właaaaśnie. Nie da się sprowokować! Mowy nie ma! Hasło „po moim trupie” powinna wypisać na fladze i przyczepić sobie do ogona. I nawet nią czasem powiewać, dla lepszego efektu.

Och, Leo, Leo, jak dobrze, że nie dali ci na imię Alicja, wtedy zapewne skończyłabyś jako zmutowany królik czy inne ustrojstwo.

Nie była pewna, jak długo trwały kolejne cykle tortur – zamknięcie w komnacie, zabawy w poszerzonym gronie, targanie przez korytarz. Zamknięte koło. Wybrali najbardziej skuteczną technikę – dążyli do zaburzenia wewnętrznych rytmów dobowych, do wytrącenia z równowagi całego organizmu. W sumie niegłupi pomysł, Lea musiała im to przyznać. Trzeba było od tego zacząć. Czy oprawcy kiedykolwiek zrozumieją, że torturowanego nie może cofnąć do punktu zerowego po tym, gdy jedna z technik nie zadziała? Nie była pieprzoną grą komputerową z bezpiecznym zapisanym punktem kontrolnym!

Lekki, zwiewny zapach fiołków zakradł się do nozdrzy Lei. Mmm. Miła odmiana po smrodzie wydzielin i skłaniającej się ku zgniliznie krwi. Jakby wiosna zawitała na wysypisko śmieci – przyjemne zapachy tylko uwydatniły dominujący odór. Lea skrzywiła się i podniosła nieznacznie głowę. Ohyda. Rzeczywiście, skropione perfumami gówno pozostaje gównem. A może staje się przez to jeszcze bardziej gówniane? Ciekawy koncept. Mistrz Gombrowicz znalazłby pewnie na to jakieś błyskotliwe absurdalne określenie. Szkoda, że nie była Gombrowiczem, przydałoby się jakieś podsumowanie całkiem porządnie rozpoczętej myśli. A tak wszystko pójdzie na straty. Szkoda, szkoda.

- Witaj, kuzynko - wychrypiała. - Dawno się nie widziałyśmy.

- Jesteś taka rozkoszna. Mam całą wieczność, aby cię łamać - stwierdziła lekko Daniela, uśmiechając się słodko, przykładając Lei chłodną dłoń do policzka. Oblizwała łakomie wargi. - Będiesz moja, kuzynko. W większym stopniu niż kiedykolwiek marzyłaś.

- Wątpię - oznajmił Szymon, wchodząc do salki tortur lekkim, nonszalanckim krokiem. - Widzisz, Lea nie ma zamiaru wyrzekać się Przywiązania, które już zostało zawarte. Prawda, koteczku?

Stać ją było tylko na uśmiech w odpowiedzi na jego pytanie, które i tak było retoryczne. Wolała nie sprawdzać, czy jej krtań po przyduszeniu nadal działała. Pewnie nie do końca, a quasi-seksowna chryпка zepsułaby moment. Księżniczki ratowane z opresji nie brzmiały jak zardzewiałe organy, były słodkie, cudowne i operowały irytująco wysokimi tonami. Niestety, Lea nawet w najlepszej formie nie uderzała w te rejestry. Nawet w ramionach Szymona, co zawsze uważała za swój osobisty sukces, biorąc pod uwagę to, co potrafił z nią zrobić.

Jej Rządzący oparł się o framugę, skrzyżował ręce na piersi i utkwiał jedno ze swoich słynnych zimnych spojrzeń w Danieli. Teatralność była jedną z jego licznych umiejętności, tak samo zresztą jak wycucie chwili. Nie mógł chyba zaplanować lepszego wejścia. Naturalny talent, jeśli by ktoś Leę zapytał. Nie pytał, ale co tam. Trochę zdziwiło ją, że nie wiedziała, że się zbliża, musiał albo zablokować ich Przywiązanie, albo znajdowała się w lepiej strzeżonym magicznie miejscu, niż zakładała. Będzie trzeba zapytać, jakim cudem wytropił ją w tej norze. I jaki mieli dzień, bo jej własne wyliczenia trafił jeszcze większy szlag niż zwykle. Daniela z Jeremiaszem zrobili słaby rekonesans, zakłócanie rytmu dobowego w wypadku jej skromnej osoby dużo nie dawało, bo i tak słabo się orientowała w czasie. Ale to tak na marginesie.

- Mam powtórzyć, Danielo? - spytał zimno, prawie lodowato; tym głosem zastraszał, a ją tylko podniecił. Zdecydowanie za dużo czasu spędziła w towarzystwie bicz i kajdan. - Lea jest Przywiązana. Zechciej ją odpiąć od tego żelastwa.

Nie wykonał żadnego ruchu, nawet nie drgnął, ale coś w jego głosie sprawiło, że Jeremiasz sięgnął po leżący obok bat. Ten ze srebrnymi końcówkami. Jej ulubiony. Zdążyli się zaprzyjaźnić, choć nie na tyle, by nadała mu już jakieś imię... aczkolwiek powoli zaczynała to rozważać. Postanowiła nawet, że będzie słowiańskie. Bat wyglądał, jakby pochodził z tych rejonów.

Tak, Szymon pojawił się w odpowiednim momencie. Chyba zaczynało jej odbijać. Chyba zdecydowanie zaczynało.

- Niby dlaczego? - zapytała Daniela zalotnie. Jedna z jej klasycznych zagrywek. - Skoro już ma właściciela, czemu nie nosi obróżki? Dlaczego Zgromadzenie nic o tym nie wie? - Jej głos, choć nie zatracił przymilności, przybrał ostre tony. Chyba tylko Cudowne Dziecko znało tę sztuczkę.

Fajną sztuczkę, ale znowu - nikt nie pytał Lei o zdanie. Rozgrywka

między gwiazdą Zgromadzenia a Szymonem była zbyt ważna i zbyt trudna, aby ważyła się wtrącić swoje trzy grosze. A szkoda. Mogłaby na przykład powiedzieć, że jej kuzynka w tej swojej zwiewnej sukni wyglądała wyjątkowo nie na miejscu, przez co wydawała się jeszcze piękniejsza. Prezencja przede wszystkim. A może warunkiem koniecznym do tego, by zostać Rządzącym, było zamiłowanie do teatralności? Cóż, Lea z pewnością go nie miała, i to by sporo tłumaczyło.

Zatopiła się w bliżej nieokreślonej kłótni wewnętrznej, przez co umknął jej kawałek przedstawienia. Cholera, a zajmowała pierwszy rząd! Jakaż strata!

- Zapominasz się - warknęła Daniela.

- Mylisz się. Mam wszelkie Prawa żądać zwolnienia Lei, ponieważ ona już jest Przywiązana, ponieważ nie jest ona Przywiązana ani do ciebie, Danielo, ani do Jeremiasza. Choć między nami, on jest tak w tobie zakochany, że raczej nie będzie w stanie nawet wpaść na pomysł przygruchania sobie kogoś na boku. A mógłby.

- Nie należy do ciebie - warknął Jeremiasz. - Nie ma obroży.

Kurczę, zaczynała ją to męczyć. Przepychanki, polityka, przepychanki, polityka. Iiii. Przymknęła oczy, pozwoliła głowie opaść. Ale tylko na chwilę, żeby chociaż na to wszystko nie patrzeć. Na bogów, chciała tylko wrócić do domu. Położyć się w łóżku, najlepiej Szymonowym, i zapomnieć. Po prostu zapomnieć, że tkwiła po uszy w tym śmierdzącym bagnie, jakim okazała się Kraina Czarów.

- Lea! - wrzasnęła Daniela, ponownie w wyjątkowo irytująco wysokim rejestrze.

Znowu coś ją ominęło? Gdy jej nie bili, nie biczowali, nie trącali elektrowstrząsami, zaczynała mieć problemy z koncentracją. Rutyna ostatnich dni (a może tygodni?) troszkę źle wpłynęła na kognitywne zdolności świadczone przez mózg. Brak pożywienia też. Och, zjadłaby coś, najlepiej konia z kopytami. Być może nawet dosłownie.

- Czego? - wycharczała, unosząc nieco głowę.

- Dość już tego - westchnął Szymon i pstryknął palcami.

Jego magię Lea wyczuwała w każdych okolicznościach. Podobno dzięki Przywiązaniu. Jej zmysły odbierały przepływ czarów niczym krążenie płynów ustrojowych w organizmie. Kajdany puściły, a ona upadła bezwładnie, bez cienia gracji na chłodne kamienie podłogi. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że ma tak wiele ścięgien barkowych, i że mogą one tak boleć.

- Twoja kuzynka, Danielo, uczyniła mi ten zaszczyt i postanowiła, że ze mną zwiąże swój los.

Para silnych znajomych dłoni podniosła Leę i przyciągnęła do ciepłego ciała ich właściciela, zapewniając oparcie nie do końca sprawnym kończynom. Przymknęła oczy, uśmiechając się lekko. W końcu. Był tu z nią, blisko. Teraz mogła nawet umrzeć, próbując rozszarpać swoich porywaczy. Zrobi to z przyjemnością wykraczającą poza proste instynkty drapieznika. Zatańczy w ich krwi i wnętrznościach, i będzie się śmiać. A potem się położy

w ich ścierwach i pójdzie spać. Tak, to brzmiało jak całkiem rozsądny plan. Uniosła powieki i spojrzała na Cudowne Dziecko. Jej czerwona ze złości cera brzydko wyglądała na tle niebieskiej sukni. Lea nigdy nie lubiła takiego połączenia kolorów.

- Nie! Ona nie może być twoja! - wrzasnęła Daniela, tupiąc nóżką ze złości.

- Tak naprawdę - zaczął Szymon, rozbawiony - to ja należę do niej, nie ona do mnie. Ale pozwól, Danielo, że w ramach starej znajomości zdradzę ci pewną tajemnicę. Byś zapamiętała, że nigdy, przenigdy nie dostąpisz zaszczytu nazywania się Rządzącą swojej kuzynki. Pokaż je, kochana - powiedział do Lei. - Wszystkie.

Nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień. Miała na sobie tylko wątpliwej czystości majtki, więc wszystko inne widoczne już było (pod warstwą krwi i brudu, ale wciąż). Zrobiła, o co prosił. Tańczące pod skórą Znaki powoli zaczęły wypływać gdzieś z wnętrza jej osoby, by zmaterializować się w bardziej zwartej formacji. Ufała Szymonowi, chociaż zdawała sobie sprawę, że i on pewnie czasem się mylił. Ale dzisiaj niewiele ją to obchodziło. Zrobiłaby wszystko, byle tylko wyjść z tego cholernego lochu. A Szymon był kluczem. I miał w domu prysznic. Za możliwość kąpieli też była gotowa oddać w tym momencie naprawdę wiele. Chyba jednak wbrew pozorom była całkiem nieskomplikowanym w obsłudze zwierzątkiem.

Znaki pojawiły się jeden po drugim, od zejścia obojczyków, wzdłuż mostka, aż do linii majtek - *Zwinność, Siła, Spryt, Drapieżność, Zmiana, Szybkość, Gibkość, Spostrzeganie, Pomysłowość*. Chwilę później Szymon położył dłoń pod jej lewą piersią, wyszeptał parę słów w jej włosy, między innymi „przepraszam” i „kocham cię, zaufaj mi”. Lea odmruczała, że ufa. Wyczuła, że się uśmiechnął. Tęskniła za bliskością jego ciała. Bardzo. Za komfortem i poczuciem bezpieczeństwa, które jej dawał. Pocałował ją w czubek głowy, a ona wrzasnęła całą imponującą mocą swoich płuc. Czuła się tak, jakby ktoś nożem wycinał jej na skórze tuż nad sutkiem kolejny Znak. Rozżarzoną tępy ostrzem. Paliło. Krew w żyłach wrzała, a Lea nie przestawała krzyczeć, głosem, który ledwo mogła rozpoznać jako własny. Ręce Szymona utrzymywały ją w miejscu jak cholerna kotwica. Po upływie wieczności opadła bezsilnie na podtrzymującego ją mężczyznę. Jego ciało było napięte, jakby...

- Widzisz, Danielo? - spytał chłodno, a Lea odruchowo zacisnęła uda. - Dziesiąty Znak dla nas obojga. Zgromadzenie twierdzi, że pojawienie się dodatkowego Znaku po Przywiązaniu to tylko legenda. Jeśli jednak żyjesz zgodnie z Prawami, jeśli postępujesz właściwie, pojawia się zawsze, jeśli Rządzony oddał ci się dobrowolnie i w pełni.

- Dziesiąty...?! - Spojrzenie Daniela i Jeremiasza, przepełnione szokiem, zdziwieniem, a jednocześnie tak wielką zawiścią, zasługiwało na uwiecznienie.

Szkoda, że nie miała aparatu. Ale nie było jak go zabrać na tę niespodziewaną wycieczkę.



- Jesteście jak dzieci - westchnął Szymon rozczarowany. - Wy i wasze Zgromadzenia. - Wziął Leę na rękę i mocno przytulił. - Bładzicie w ciemnościach, po omacku, nawet o tym nie wiedząc.

Ułożyła głowę wygodnie na ramieniu swojego kochanka. Nie miała siły oponować, że potraktował ją jak lalkę. Na niewiele było ją stać w tej chwili. Gdyby się na nich rzucili, złość i instynkt zapewne zrobiłyby swoje, ale póki co Lea zamierzała skorzystać z tej słodkiej chwili wytchnienia. Szkoda tylko, że przedstawiała sobą tak żaloszny widok. I na pewno śmierdziała. Takie wspomnienie mogło przeszkodzić ich zażyłości.

Prysznica, prysznic, niebioso, ześlijcie prysznic. Lea przymknęła oczy. Nawet głupim piosenką w jej głowie brakowało ładu, składu i porządnej fleksji. Gdyby to była kartka, a nie mózg, Lea pewnie bezceremonialnie poprawiłaby to i owo czerwonym długopisem, jak na dobrą redaktorkę przystało.

- Nie boisz się, że o tym rozpowiem? - wysyczało Cudowne Dziecko, zaciskając mocno pięści. - Upolują was oboje, rozkroją jak pieprzone żaby w laboratorium. A z ciebie zrobią bezmyślnego reproduktora dla swoich córek!

- Nikt ci nie uwierzy, Danielo - odparł Szymon smutno. - Jeśli sądziłaś, że zostałam dopuszczona do wewnętrznego kręgu władzy, jesteś w dużym błędzie. Choć szkoda, długo miałem nadzieję, że ci się uda. Ułatwiłoby nam to przywrócenie równowagi.

Głos kochanka rozbrzmiewał miłym, dudniącym echem, powoli odsyłając Leę w jakieś odległe, przyjemne przestrzenie świadomości. Mniej więcej w okolicy tych pluszów i jedwabów o głębokich chabrowych barwach, co w jej głowie było odpowiednikiem różowych futerek i piórek charakterystycznych dla statystycznych dziewczynek. Nigdy nie lubiła różów, co najwidoczniej zostało zapisane na dość głębokich pokładach świadomości. Zagłębiała się coraz bardziej w te urocze otchłanie, kiedy jakieś bliżej nieokreślone łaskotanie i kakofonia dźwięków sprowadziły ją z powrotem do brudnej salki tortur.

Zachnęła w ramach protestu. Naprawdę podobało jej się w tym spokojnym miejscu, w którym była przed chwilą. Chyba była zbyt słaba, by móc w ogóle funkcjonować. Mało przyjemny stan, mało, mało. Kiedy otworzyła oczy, zrozumiała, że znowu coś ją ominęło. Ożeż! Ile można?!

W salce znajdowało się teraz więcej osób plus dwa trupy. W sumie ilość żywych się nie zmieniła, ale za to z pewnością zwiększyła się ilość martwych. Lea nie była jednym z nich, bravo! Łoho! Punkty dla Lei! Jeremiasz leżał na ziemi, rozplaszczony, jego prawy nadgarstek przyspilono do ziemi jakimś sprytnym zaklęciem, drugi miażdżyła całkiem zgrabna stopa w lekkim, czarnym obuwiu. Właściciel tejże stopy odziany był w czarnoszare wdzianko, które w jej mózgu od razu zapalało żarówkę z napisem „ninja”. Zgrabnie i fachowo spleciony blond warkocz potwierdził tylko pierwsze skojarzenie Lei - Andriej. Daniela stała w rogu komnaty, jej suknia nie wyglądała już tak olśniewająco, świeżo i czysto. Nie była nawet

w jednym kawałku. Jaśnie pani pobladła, co uwydatniło delikatny makijaż oraz czerwoną pomadkę. Lea nie zarejestrowała nawet faktu, że Cudowne Dziecko malowało usta na kolor femme fatale. Dziiiiwne. No, ale musiała sobie troszkę odpuścić, to były dość ciężkie warunki. Nieznacznie po jej (ich) prawej stronie stał... Dima. We własnej osobie. Tego Rządzącego z kolei nie widziała już dawno w pełnym rynsztunku bojowym. Wyglądał w nim jak spełnienie nastoletnich marzeń o mrocznym wojowniku. Krótki skórzany bezrękawnik, obcisłe, idealnie przylegające, elastyczne spodnie i ochraniacze na przedramionach sprawiały, że jego sylwetka przypominała dzieło sztuki.

Znaki, które nosił Dima, czyniły z niego niebezpiecznego przeciwnika. Z braku lepszych określeń Szymon nazywał go czasem Magiem Miecza, dodając przy tym, że dobrze się stało, że stali po jednej stronie, a jeszcze lepiej, że Andriej bardzo lubił Leę, bo to z kolei chroniło plecy Szymona przed zamachami ze strony Dimy. Nie, polityka i koneksje to zdecydowanie nie był jej żywioł - jak to dobrze, że nie musiała grać o tron! Zdecydowanie odpadłaby w eliminacjach. Pierwszy trup po prostu.

- No proszę! - zawołał wesoło Andriej i zerknął w stronę Lei. - Śpiąca królewna wróciła do świata żywych!

- Spierdalaj - wychrypiała i zmusiła głowę do uniesienia się.

Och, zawroty głowy. Dawno się nie widzieliśmy.

- Idźcie - mruknął Dima swoim pełnym piorunów głosem. - Państwo zostaną z tyłu - zwrócił się do Daniela i Jeremiasza. - I grzecznie zrzekną się wszelkich dalszych prób przekonania Panny Leokadii do wyrzeczenia się pierwotnie podjętego Przywiązania.

Cudowne Dziecko zasyczało, jak na zagonioną w kozi róg kotkę przystało... A może ślepy róg? Ślepy narożnik? Poza tym za dużo zwierzątek w jednym zdaniu jak na gust Lei. Chociaż w sumie sens brał górę nad poprawnością - od biedy kozioł i kot mogą zostać w jednym rogu.

Dima zmrużył oczy. Coś świsnęło w powietrzu, a na idealnie gładziutkim policzku Daniela pojawiła się cieniutka krwawa linia.

- Grzecznie, proszę - zamruczał. - Zachowujmy się jak na profesjonalistów przystało. Panna Daniela jest w końcu przewodniczącą Zgromadzenia okręgu gdańskiego. Ładnie to tak syczeć na ludzi?

- Ona - zawarczała Daniela i wskazała palcem na Leę - nie jest człowiekiem.

Tym razem to Szymon wydał z siebie bliżej nieokreślony dźwięk, a powietrze przeszły dwa świsty, zdołując ramię i dekolt Daniela znacznie głębszymi nacięciami. Walki magiczne Lea zawsze uważała za trochę dziwne. Trudno walczyć z czymś, czego się nie widzi. Dima jej kiedyś tłumaczył, że wykorzystywanie magii w walce wymagało odpowiednich umiejętności i instynktu co do doboru zaklęć. Instynktu, który według niej można by podsumować jako: „walnij, aby nie zauważyli”. A może to jej brakowało odpowiednich Znaków? Może Daniela widziała, co się ku niej zbliża? Bezpośredni kontakt w walce - to Lea rozumiała. Ale tak na

odległość? Zero zabawy. Zaczynała czuć się nieswojo w roli ratowanej księżniczki - w ramionach Szymona mogłaby wprawdzie spędzić całą wieczność, ale była w stanie sobie wyobrazić o wiele lepsze i ładniej pachnące okoliczności, w jakich mogłaby się w tych ramionach ulokować. Niekoniecznie takie. Dość już, dość. Lea wyprężyła się, odwróciła, aż w końcu wyslizgnęła z objęć kochanka zwinnie. Jak kotek. Pozwalała jednak, aby nadal ją podtrzymywał, wołała to niż bonusowe obicie sobie tyłka na twardej posadzce (doświadczyła pieszczot owej podłogi już zbyt wiele razy). Czuła się dużo lepiej niż przed przybyciem wsparcia. Podobno czasem Przywiązanie działało jak energetyczna transfuzja, więc może to dlatego? A może dlatego, że poczuła się bezpieczniej i troszkę się zdrzemnęła... choć „straciła przytomność” lepiej opisywałoby te wyrwane z przedstawienia epizody.

- Nie obrażałbym jej na twoim miejscu, Danielo - powiedział opanowanym głosem Szymon. Spokojny i opanowany Szymon to niebezpieczny Szymon. Mniam! - Nie, kiedy przebywasz w naszej obecności.

- Rządzeni są do tego, żeby służyć - wysyczała Daniela. - Nie są niczym więcej! Tylko narzędziem, które musi zostać użyte, aby miało jakąkolwiek wartość!

- Ranisz moje uczucia, *priekrasnaja dziewczuszko*. - Andriej roześmiał się i odwrócił nieznacznie w stronę Cudownego Dziecka. - *Eta nieprawilno*.

Skąd mu się nagle ruski włączył - Lea nie miała pojęcia. Jej ninja-przyjaciel już tak czasem miewał, podobnie jak ona z angielskim. Chociaż Szymon Lei pilnował, i to dość skutecznie, do tego stopnia, że nawet ilość myśli formułowanych po angielsku znacząco spadała. Nie całkowicie - *come on*<sup>[1]</sup>, niektóre zwroty mieli w końcu niepowtarzalne!

Daniela spojrzała na Andrieja zdumiona. No tak, Lea zapomniała, że mało kto wiedział, jaką odgrywał rolę w Krainie Czarów. Winę ponosiły pewnie jego dominująca osobowość i charakter. Większość kobiet ze Zgromadzeń była pewna, że jest im równy. Myślenie o tak charyzmatycznej istocie jako o kimś zajmującym niższy szczebel drabiny hierarchicznej sprawiało spore kłopoty. Na wszelki wypadek nikt ani nie pytał, ani nie przyklepał pod jego imieniem żadnej plakietki. Lepiej nie zabijać fantazji zbyt szybko, to by popsulo całą przyjemność.

Dima chyba chciał coś odpowiedzieć, być może skarcić swojego kochanka albo dorzucić kąśliwą uwagę, ale ten moment postanowił wykorzystać Jeremiasz. Miecz pojawił się w jego ręku nagle, cząstki powietrza po prostu skondensowały się w jego dłoni. Lea chyba krzyknęła ostrzegawczo, ale nie była pewna. Świat zawęził się, jak zawsze w obliczu walki. Pokój wypełniła obezwładniająca cisza, wszystko zwolniło. Rzuciła się w kierunku tracącego materialność Andrieja, jej własne paznokcie zmieniły się w długie, ostre szpony. Cherubin się zamachnął. Lea widziała dokładnie każdy jego ruch. Dopadła skurwiela. Wykorzystała otwarcie, zanurzyła pazury w miękkiej tkance brzucha Jeremiasza, kierując się w górę, ku

przeponie i płucom. Tak jak podpowiadał instykt, czyniąc za jednym zamachem jak największą ilość obrażeń. Uszy Lei wychwyciły charczenie zarzynanej ofiary. Niebezpiecznej ofiary. Pewność, musiała mieć pewność, że on już nie wstanie! *Zmiana* przyszła szybko, płynnie, mięśnie, skóra, narządy znajdowały dla siebie nowe miejsce, nowy układ, który pozwalała na większą efektywność. Rozwarła szerokie szczęki, zatopiła kły w szyi Cherubina, aby wyszarpać większą część mięsa. Nie wstanie. Z jego klatki piersiowej wystawały trzy cienkie ostrza. Już nie wstanie.

Odwróciła się płynnie, kierując uwagę na drugie źródło zagrożenia. Dziewczyna stojąca w rogu śmierziała kwaskowatym strachem i ostrą nienawiścią. Lea widziała magię Szymona, która... robiła dziwne rzeczy. Nie umiała znaleźć słów, które mogłyby określić, co właściwie widziały jej oczy. Nie była w stanie nic zrobić, mogła tylko patrzeć, jak Dima i jej kochanek łamią ostatnie osłony Daniela. Oni byli magami, ona nie, jeśli się wtrąci, wszystko skomplikuje. Ale łaknęła krwi. Żelazny posmak na języku tylko podsycił pragnienie.

Nie przeszkadzało jej, że istotą, na którą chciała zapolować, była jej własna kuzynka. Kraina Czarów sprawiła, że Lea nie była już normalną dziewczynką, nie marzyła już o księciu na białym koniu. Kraina Czarów zmieniła jej marzenia. Teraz ograniczały się one do nadziei na spokojne jutro, do wieczora spędzonego w towarzystwie mężczyzny, który uratował ją od śmierci, wprowadzając zarazem w świat pełen krwi i spisków. Może kiedyś Lea była Kopciuszką, ale teraz został tylko wytrenowany drapieżnik.

Wyczuła obok przebywającego w cieniu przyjaciela. Nie ruszyła się. On również czekał. Po chwili Dima cofnął się o krok, Szymon z kolei postąpił naprzód. Ostatnia z osłon runęła, wypełniając pokój cichym brzękiem rozpadającego się szkła. Wielkie śliczne oczy Daniela chyba nigdy nie kryły w sobie tyle szczerych emocji i uczuć co teraz.

- To koniec - rzucił cicho Szymon i uniósł dłoń w górę.

Lea nie odwróciła głowy, nie zakryła łapami uszu, nie wstrzymała oddechu. W chwili, kiedy dłoń jej kochanka opadła, inicjując śmiertelny, magiczny cios, po prostu ziewnęła. Cudowne Dziecko umierało, a ona marzyła o ciepłej kąpieli, miękkiej kołdrze i górze jedzenia. Stała się tym, kim miała się stać. Przez chwilę było jej żal dziewczynki z takim uczuciem wychowanej przez Matkę i Ojca, żal jej nawet było Babki, która nie miała pojęcia, jak naprawdę wyglądała Kraina Czarów. Nie tak to wszystko powinno wyglądać. Już nawet konflikt obu gałęzi dzieci, jawna wrogość i plotkowanie byłyby lepszym wyjściem. Ale cóż. Lea urodziła się w swoim Rodzie, urodziła się, aby nosić Znaki. I to był teraz jej świat.

- No to idziemy do domu - westchnął Andriej i wyszedł z cienia. - Nasza księżniczka musi się umyć.

16.09.2011

---

[1] *Come on* - tu: no przecież!

## Posłowie

NA TYM KOŃCZY SIĘ HISTORIA LEOKADII, NIE KOŃCZY SIĘ JEDNAK HISTORIA samej Krainy Czarów. Ktoś inny jednak opowie o samym konflikcie, o przetrwaniu lub zagładzie Krainy. Nie będzie to już Lea.

Większość tekstów powstaje, ponieważ ktoś, gdzieś, kiedyś pomógł Autorowi czy Autorce, popchnął do działania albo wyszczerzył się szeroko na widok paru nabazgranych radośnie stron. Lea też miała przy sobie takich ludzi i im wypadałoby podziękować. A więc: dziękuję bardzo za kopa, za wyszczerz, za radość płynącą z czytania jej kawałków, kawałków kawałków, poprawionych kawałków i wyrzuconych kawałków. Zwłaszcza Teyi (Agnieszce Skulskiej), Kodamie (Marcie Tymińskiej), Kasi Łabanowskiej oraz Lucynie Markowskiej (za jej cierpienia i rady).

Czasem teksty się dedykują, Lea też będzie miała swoją dedykację, choć na końcu, a nie na początku, ponieważ cała ta opowieść jest jednym wielkim czasowym zawirowaniem:

Moim kochanym Rodzicom, którzy wierzyli, że ich córka jest nienormalna w ten pozytywny sposób. Za to, że pokazali mi światy zamknięte w książkach i nauczyli je kochać.

*Leokadia w Krainie Czarów*

Wydanie pierwsze, Gdynia 2014, ISBN 978-83-7942-227-2

© Agata Agnieszka Włodarczyk i Novae Res s.c. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Magdalena Śmiechewicz

Korekta: Monika Pruska

Okładka: Krystian Żelazo

Konwersja do EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

Novae Res - Wydawnictwo Innowacyjne

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

